



pamiętnik nastolatka 3



„Solidarność” Łomży 4



cuda i weterynaria 6

łazanki ze słoniną 12

gorycz Kolumbów 13

KONTAKTY

ŁOMŻYŃSKI TYGODNIK SPOŁECZNY • PISMO PZPR

22

KONTAKTY
23 XI 80
Cena 4 zł



Fot. GABOR LÖRINCZY

DANUTA I ALEKSANDER WRONISZEWSKY

grube ryby i węgorze

Rajgród miałby szansę być ośrodkiem turystycznym z prawdziwego zdarzenia. Ale się o to nie stara. Kiedy odjeżdżają turyści, robi się pusto i nudno. Nie ma kawiarni, kino drugi rok nieczynne. Niedawno zawaliła się ściana restauracji. Gminny Ośrodek Kultury czeka na remont. Być może nie zawali się do czasu, zanim ekipa budowlana przystąpi do pracy. Na razie już trzeci rok przestawia cegły w Urzędzie Miasta i Gminy. Ale mieszkańcy Rajgradu na nudę nie narzekają. ZSMP-owcy przygotowują się do dyskusji nad nowym modelem kultury wiejskiej, a inni... Innym też tematów do dyskusji nie brakuje.

CIĄG DALSZY NA STR. 8-9

WIESŁAW KOŁOWSKI

trzy godziny szczerości

— W czwartek przyszliśmy do „Misia” jak zwykle, o 7.00 rano. Portierka powiedziała nam: — Nie warto wchodzić na górę, sala zamknięta, prezes zabronił otwierać. Nie pozwolił również podpisać listy. Zrobiliśmy więc własną. Dopiero o 10.00, po telefonie z komitetu przysłał sekretarkę, która otworzyła drzwi do sali. Postanowiliśmy jednak nie wchodzić. Skoro czekaliśmy trzy godziny, to możemy i dłużej. Przecież dzisiaj przyszliśmy do zakładu, żeby pracować. Dość miałyśmy dwóch dni strajku i chociaż nieczego konkretnego nam nie obiecano chciałbyśmy go zakończyć.

Siedzą na schodach, na piętrze, na podłodze rozścieliły wełnę drzewną, żeby było wygodniej i mniej zimno. Dyskutują. Trzydzieści kobiet z wydziału — zwanego taśmą — w Spółdzielni Przemysłu Zabawkarskiego „Miś” w Łomży. Przygotowały listę postulatów. Notuje: „Żadamy podwyżki, każdemu minimum 600 złotych, zapłaty za dni, w których nie pracowaliśmy, zaopatrzenia pracowników naszego wydziału w buty zdrowotne. Zwracamy się z żądaniem zmiany zarządu spółdzielni. Dopuszczenie pracowników fizycznych do udziału w zyskach. Żadamy stałej, dziesięcioprocentowej premii. Wyплаты równowartości za niedostarczony proszek i mydło”.

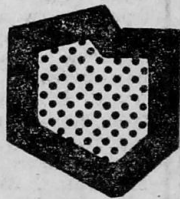
— Najważniejsze są dla nas płace. W naszym dziale mamy najniższe zarobki. W szwalni, czy krawalni zarabiają po 4 tysiące — my — ledwie trzy. Jak to jest możliwe, żeby po dwunastu latach pracy mieć 11 złotych za godzinę? Normy akordowe też chyba są zbyt wygórowane. Aby zarobić trzy tysiące, musimy codziennie zabierać robotę do domu. Pracujemy w ciasnocie przy prymitywnych warsztatach. Wełnę drzewną, którą wypychamy zwierzęta, sużymy gdzie się da, często za plecami, od czego później są choroby. W sali, gdy pracujemy, unoszą się tumany kurzu; wentylatory niby są, ale niewiele dają. Jeszcze gorzej jest w pomieszczeniu gdzie stoi maszyna do nabijania pianki w zabawki. Wyiewy są takie, że co chwila biegamy wymiotować. Na dodatek urządzenie często się psuje, są przestoje w pracy. Żeby nam chociaż dobrze płacono. Czekaliśmy z niecierpliwością na październikową podwyżkę. W piątek miała być wypłata. Posłaliśmy do rady zakładowej dowiedzieć się, jakie będziemy miały stawki. Okazało się, że według projektu niektóre osoby z naszego działu otrzymają po trzysta złotych podwyżki, a kilka nawet mniej. A spodziewaliśmy się co najmniej po sześćset. Prezes nie odpowiedział czy

CIĄG DALSZY NA STR. 5

TRWA NASZ KONKURS „PAMIĘTNIK NASTOLATKA”



W ŁOMŻY ODBYŁ SIĘ — jak już informowaliśmy — III Wojewódzki Zjazd ZSL. Poniżej przedstawiamy fragmenty niektórych wystąpień. Z referatu prezesa WK ZSL w Łomży **JERZEGO SUROWCA**: — Chodzi o przywrócenie właściwej funkcji organom uchwałodawczym i podporządkowanie im organów wykonawczych w administracji, w spółdzielczości, o odradzanie ruchu związkowego i nadanie szerokich uprawnień samorządom robotniczym, samorządowi rolniczemu i samorządowi mieszkańców. Pilną potrzebą jest nowelizacja prawa spółdzielczego, a także o radach narodowych, tak by rada narodowa i rada spółdzielni była organem władzy, a nie ciałem dekoracyjnym. Należy dążyć do stworzenia takich warunków prawnych i politycznych, aby członkowie lokalnych społeczności czy pracownicy mieli pełną świadomość tego, że samorząd reprezentuje ich interesy, a przy podejmowaniu decyzji bierze się pod uwagę ich opinie. Wspólną sprawą władz i społeczeństwa jest wzrost produkcji rolniczej w latach 1981—85; **WŁODZIMIERZ MICHAŁUK**, sekretarz KW PZPR w Łomży: — Na rolnictwo trzeba patrzeć ze zdwojoną uwagą ponieważ jest to sprawa o wymiarze narodowym. Wynikami rolnictwa zainteresowane musi być całe społeczeństwo, bo od tego zależy stan jego wyżywienia. Dlatego też wkład w jego rozwój muszą wносить nie tylko rolnicy lecz również przemysł i inne dziedziny gospodarki narodowej; **JÓZEF RANDZIO**: — Powstało zbyt dużo gospodarstw specjalistycznych. Zdarza się, że rolnik ma kilka sztuk bydła i już uznaje się go za specjalistę. Konieczna jest odnowa samorządu wiejskiego, ale ja rozumiem to w ten sposób, że utworzymy jedno zrzeszenie rolników indywidualnych, wtedy będzie się z nami każdy liczył; **HENRYK ORŁOWSKI**: — Na wsi mieszka 46 proc. obywateli, a ilu



PODCZAS NARADY sekretarz KW PZPR w Komitecie Centralnym, której przewodniczył Stanisław Kania, zwrócono szczególną uwagę na działalność partyjną we wszystkich środowiskach, podkreślając potrzebę jej dynamizowania, szukania nowych form działalności zarówno aktywno jak i wszystkich członków partii.

W ARTYKULE „Rezonans” („Słowo Ludu”) przytacza się uchwałę podjętą 21 października br. przez Komitet Uczelniany PZPR WSI w Radomiu, w której: „Zgodnie z punktem 29 naszego statutu 1/3 członków PZPR ma prawo zwołać Zjazd Nadzwyczajny i z taką propozycją i apelem zwraca się do wszystkich podstawowych organizacji partyjnych w kraju”. Przytacza ona także wypowiedź jednego z uczestników zebrania: „Wszyscy przeżywamy na własnej skórze kryzys zaufania. Ja się czuję jak rozbrojony żołnierz, nie mam czym walczyć, nie mam argumentów. Odebrano mi prawo moralne do obrony głoszonej przez partię linii. I sądzę, że tylko przez zjazd jesteśmy gotowi dokonać samoczystczenia”.

Z WYSTĄPIENIA premiera PRL na naradzie w Łodzi: „Jesteśmy zdecydowani konsekwentnie realizować wytyczne przez KC zadania odnowy działania partii, rozszerzać demokratyzm wewnątrzpartyjny, zapewniać przestrzeganie leninowskich norm życia partyjnego.” [...] Kształtowanie nowych propozycji i przy-

posłów w Sejmie na stałe mieszka w Warszawie? Czy wieś jest wystarczająco reprezentowana? Dlaczego obowiązują niesprawiedliwe ceny. Za żyto na wolnym rynku płaci się po 900 złotych, a państwo kupuje po 420 złotych; **CECYLIA ŻAK**: — Rozmawiałam z młodzieżą, wszyscy mówili, że ich wychowuje rodzina, nikt nie wspominał o szkole, organizacji młodzieżowej. Brakuje dobrej literatury, filmu. Młodzieży nie wychowamy sloganami. Dzieci stoja po dwie, trzy godziny na szosie zanim wrócą ze szkoły do domu. Siedzą po osiem godzin głodne, nawet bez szklanki gorącej wody. Czy dziesięciolatek musimy wprowadzać takim kosztem?; **RYSZARD GRODZKI**: — ZSL musi być partią chłopską, za dużo jest w niej urzędników. Tylko ZSL-owcom na najwyższych szczeblach wydaje się, że coś się zmienia; **MIECZYSLAW ZAWISTOWSKI**: — Możemy produkować za złotówki, żeby tylko za plug dolarów nie żądali; **ZYGMUNT DĄBROWSKI**: — Więcej rolników powinno zasiadać we władzach gminnych, wojewódzkich i państwowych; **TADEUSZ MAJ**, sekretarz NK ZSL: — Nawiazanie do tradycji ruchu ludowego w pracy instancji, kół, w działaniu poszczególnych członków stronnictwa ma ogromne znaczenie dla właściwego określenia swego miejsca we współczesności. Dziś powinniśmy bardziej niż kiedykolwiek sięgać do tych korzeni ruchu ludowego, abyśmy mówiąc o błędach mieli świadomość drogi, jaką ruch ludowy przebył.

EGZEKUTYWA KW PZPR w Łomży rozpatrzyła aktualną sytuację w przemyśle, budownictwie, transporcie i handlu: plan produkcji przemysłowej za 10 miesięcy br. przekroczony został o ponad 350 mln złotych; zadań planowych nie wykonało pięć przedsiębiorstw; budownictwo zrealizowało plan w 81,4 proc., zapasy żywności zmalały w porównaniu z rokiem ubiegłym o 12,9 proc. Zwrócono uwagę na konieczność wzięcia zadań planowych z systematyczną poprawą warunków socjalnych i bhp oraz wysłuchiwanie głosów załóg i dbałości o właściwy stosunek przełożonych — podwładnych. Następnie Egzekutywa wysłuchiwała informacji o stanie skupu artykułów rolnych. Dotychczas rolnicy nie zebrali ziemniaków z 1,5 tys. ha a buraków cukrowych z ok. 2,2 tys.

wracanie niezbędnej równowagi ekonomicznej wymaga co najmniej 2—3 lat. [...] Zgoda nieodpowiedzialna są próby dalszego organizowania strajków i przerw w pracy. Zastanawiamy się, w czym to może leżeć interesie. [...] Wartość importu artykułów rolnych i żywnościowych będzie w br. wyższa od wartości ich eksportu o 1 mld 400 mln dolarów.

PODCZAS ROZMOWY z Lechem Wałęsą i sekretarz KC PZPR dał wyraz przekonaniu, że po zarejestrowaniu nowych związków stworzone zostały warunki ku temu, aby stały się one ważnym ogniwem socjalistycznej demokracji.

W GDAŃSKU zawarte zostało porozumienie między Komisją rządową a NSZZ „Solidarność” pracowników służby zdrowia oraz nauki i oświaty.

NAWIAZUJĄC DO DECYZJI Sądu Najwyższego o rejestracji „Solidarności” papież Jan Paweł II wyraził radość z „tego rozumnego i dojrzałego porozumienia” oraz przesłał swe błogosławieństwo nowym instytucjom związkowym.

Z OKAZJI WYBORU Ronalda Reagana na prezydenta USA Stanisław Kania przesłał mu list z najlepszymi życzeniami, dając wyraz tradycyjnym uczuciom przyjaźni, jakie łączą nasze narody.

ABY OCHRONIĆ wartość zgromadzonych w PKO pieniędzy przed skutkami inflacji podwyższono od 1,12 ich oprocentowanie, między innymi systematycznych oszczędności do 8—9 proc. rocznie oraz do 4 proc. wkładów płatnych na każde żądanie.

W OSTATNIA FAZĘ weszły prace związane z opracowaniem systemu kartek na mięso. Przewiduje się, że ich wprowadzenie może dla znacznej części społeczeństwa oznaczać konieczność zmniejszenia spożycia.

OD PÓŁTORA MIESIĄCA na radach portów stoją statki z ładunkiem śrutu sojowej, której niedobory odczuwają fermi hodowlane. Ich

ha. Do punktów skupu dostarczono mniejszą niż planowano ilość zbóż i żywności.

EGZEKUTYWA KM PZPR w Łomży oceniła aktualną sytuację społeczno-gospodarczą w mieście. Wskazała na nieprawidłowości w pracy miejskiej instancji, które wynikają jednakże często z ograniczonych możliwości działania. Sprzeciwiała się zadaniom partii zwracając szczególną uwagę na potrzebę odbudowy zaufania społeczeństwa do partii oraz konsolidacji członków.

TKZ NSZZ „Solidarność” Region „Mazowsze” oddział w Łomży, utworzony 8.11.1980 r. z Tymczasowego Międzyzakładowego Komitetu Założycielskiego, został upoważniony przez Prezydium MKZ „Mazowsze” do „rejestracji organizacji zakładowych NSZZ „Solidarność” oraz reprezentowania interesów swoich członków wobec miejscowych władz. Jednocześnie MKZ „Mazowsze” zobowiązał się pomagać w dostarczaniu informacji i pism związkowych, w kontaktach z ekspertami a także reprezentować interesy oddziału łomżyńskiego wobec władz wyższych.

Do TKZ NSZZ „Solidarność” w Łomży dołączają się dalsze organizacje zakładowe z terenu województwa łomżyńskiego. Prowadzone są rozmowy na temat współpracy pomiędzy przedstawicielami TKZ z Łomży a przedstawicielami Komitetów Założycielskich NSZZ „Solidarność” z zambrowskich zakładów, których pierwsze spotkanie odbyło się w niedzielę w klubie „Relax”.

W minionym tygodniu NSZZ „Solidarność” w Łomży otrzymały do swej dyspozycji dwa pomieszczenia przy ul. Turlejskiego 10a z telefonem 53-89. Od poniedziałku każdego dnia w godzinach od 10.00 do 18.00 pod tym telefonem można będzie uzyskać informacje dotyczące spraw związkowych. Doszło także do kolejnego spotkania przedstawicieli Prezydium TKZ z wicewojewodą Stanisławem Ciupa. W czwartek zawiązał się Komitet Założycielski NSZZ „Solidarność” w Wojewódzkim Szpitalu, w sobotę zaś nauczyciele łomżyńskich szkół utworzyli podobny Komitet i przystąpili do organizowania u siebie NSZZ „Solidarność”.

W ŁOMŻY odbył się I Okręgowy Zjazd Organizacyjny Polskiego Związku Wędkarskiego, którego prezesem wybrano Izidora Pianko.

rozładunek uniemożliwia brak odpowiedniego... rozdzielnika wagonowego.

Z OŚWIADCZENIA Komitetu Założycielskiego NSZZ „Solidarność” w Jastrzębiu-Zdroju: „W trudnej sytuacji naszej Ojczyzny nadrzędny interes Polski wymaga pilnie, by przezwyciężyć jak najszybciej kryzys w stosunkach między władzą i społeczeństwem i jego twórcami się nowymi organizacjami związkowymi. [...] Nigdy nie uważaliśmy, iż w naszym kraju toczy się walka o władzę między partią a związkami — jak próbują to sugerować przeciwnicy nasi — lecz toczy się autentyczna i twarda walka o to, jak władza ta ma być sprawowana.

W ARTYKULE „Partia — kierownik czy przywódca” („Życie Warszawy”) Wojciech Lamentowicz stwierdza: „Przywódcy partyjni i instancje powinny unikać takiej sytuacji, jaka była w latach kryzysów, gdy partia jest stroną w konflikcie z protestującymi robotnikami. Partia nie może być bezstronna, ale nie powinna godzić się na to, aby aparat partyjny utożsamiał się z aparatem państwowym.”

W DYSKUSYJNYM artykule zamieszczonym w „Kulturze” Włodzisław Pańkow pisze: „Opierając się na zasadach branżowych stanowi i będzie stanowiło, w obecnych warunkach, pierwotne źródło skutecznego nadporządkowania tych reprezentacji, zarówno wolnych, jak i pozostałych, kierownictwu różnych ogniw struktury organizacyjnej gospodarki (zakładów, branż, resortów).”

ZACHODNIONIEMIECKI dziennik „Die Neue” ocenia obecne zadłużenie Polski na 23 mld dolarów oraz orzeka, że w rezultacie niezbędnego dodatkowego importu żywności i surowców oraz ograniczenia eksportu zadłużenie to wzrośnie.

dwa tygodnie ekonomiki



bez pary w gwizdek

Jak podało niedawno Ministerstwo Komunikacji, na niektóre linie lokalne powrócą parowozy a wycofane zostaną używane lokomotywy spaliny napędzane importowanymi olejami. Odnotowuję to nie jako ciekawostkę, ale wymowny znak czasu.

Ileż to razy słyszymy, że z powodu trudności transportowych nie można było wywieźć z zakładu wyprodukowanych, poszukiwanych towarów, że nawaliła dostawa surowców.

Co byśmy nie powiedzieli o winach życia gospodarczego, to nie oni wymyślili kryzys paliwowy. Można mieć natomiast do nich uzasadnione pretensje za niedocenicenie potrzeb transportu kolejowego i wynikający stąd minimalny postęp w elektryfikacji żelaznych szlaków. Zamiast inwestować w kolej podejmowano arbitralne decyzje o zbiorczych stacjach rozładunkowych nie posiadających ani bocznicy, ani dróg dojazdowych, ani też odpowiednich urządzeń przeładunkowych. I potem dziennikarze podnosili rwetes, że rośnie osiowe, przetrzymuje się wagony i nie ma czym wozić. Błędne koło. Uważam, że żadna rewolucja naukowo-techniczna nie tylko lat najbliższych, ale i XXI wieku nie podważy kariery transportu szynowego opartego na trakcji elektrycznej. Można go udoskonalic — zwiększać prędkość, unowocześniać tory i wagony, można mieć pewność, że prad płynąć będzie do sieci coraz częściej z elektrowni atomowych, a nie konwencjonalnych, ale nie można ryzykować ponownego przesiedlania się z lokomotywy na tak łansowane niedawno pociągi drogowe.

Nikt ich nie zlikwiduje — nie ma obawy. Są rejonu gdzie sieć kolejowa jest słabutka (komu to w Łomżyńskim tłumaczyć?) są ładunki, które „nie lubią” kolei. Chodzi po prostu aby policzyć co się bardziej opłaca no i racjonalnie inwestować tyle ile trzeba w kolej i tak jak wyniknie z rachunku — w transport ciężarowy.

Z tym ostatnim to jest tak: wiadomo, że samochodów za mało, że kłopoty z ogumieniem, częściami zamiennymi, wiosenne przełomy na drogach, zimowa gołoledź. A z drugiej strony woz się z jednego na drugi kraniec Polski soki i marmolady, musztardę i ocet, napoje chłodzące. Wszystko to, co ma w swoich rękach przemysł terenowy, a na dobrą sprawę mógłby robić drobny zakład prywatny, rzemieślniczy czy spółdzielczy. Każda gospodyni zna receptę chrzanu czy majonezu, a jednak scentralizowane wytwórnie wożą te towary przez pół kraju.

To prawda, że przykłady błędne, najprostsze. Niestety, na nich się nie kończy. Z rozróżnieniem przyjąłem renesans parowozu, ale traktuję to symbolicznie — jako powrót do zdrowego rozsądku, wtedy nasz parowóz nie będzie puszczal pary w gwizdek.

JERZY BIELECKI

pamiętnik nastolatka

Redakcja „Kontaktów”, łomżyńskiego tygodnika społecznego oraz Młodzieżowa Agencja Wydawnicza zapraszają wszystkich uczniów szkół ponadpodstawowych oraz ich pracujących rówieśników do udziału w ogólnopolskim konkursie na „Pamiętnik nastolatka”.

Nikt lepiej od Was samych nie potrafi ukazać Waszych przeżyć, rozterek, przemyśleń, marzeń i niepokojów, burzy myśli i uczuć czasu dorastania; bo też nikt oprócz Was nie ma takiej świeżości odczuć i sądów. „Pamiętnik nastolatka” umożliwi Wam wypowiedzenie się pełnym głosem o sprawach szkoły, organizacji młodzieżowej, rodziny, o przyjaźni, miłości, o Waszym miejscu wśród ludzi, osobistych powodzeniach i porażkach.

Nie narzucamy Wam tematu ani objętości wypowiedzi. Piszcie, jak potraficie, byle szczerze i odważnie, tak jak pisze się pamiętnik tylko dla siebie. My gwarantujemy Wam — jeśli takie będzie Wasze życzenie — nieujawnienie nazwisk i adresów.

Na konkurs możecie nadsyłać również wcześniej pisane pamiętniki, dzienniki, notatki, korespondencje (do mojego chłopaka, do mojej dziewczyny) i uwagi o prawdzie szkoły i prawdzie życia, sposobie widzenia świata, kraju, regionu.

W konkursie weźmie udział każdy, kto do końca bieżącego roku nadesłanie pod adresem redakcji („Kontakty”, ul. Sadowa 10, 18-400 Łomża) napisany czytelnie „Pamiętnik nastolatka”.

Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi w styczniu 1981 r., a zwycięzcom zostaną przyznane nagrody:

- I — magnetofon kasety
 - II — rower-składak
 - III — radioodbiornik turystyczny
- oraz pięć wyróżnień (sprzęt sportowy). Wśród pozostałych uczestników rozlosujemy sto upominków-niespodzianek. Druk prac (premiowanych honorariami) zaczniemy przed rozstrzygnięciem konkursu.



w sumie piątka

Zdzisława i Kazimierz Rogińscy wraz z pięciorgiem dzieci mieszkają w nowoczesnym M-5 na osiedlu Jan-tar. Ona jest cewiarzka na oddziale przygotowawczym w LPPB „Narew” a on — stolarkiem w Łomżyńskim Przedsiębiorstwie Budowlanym. Po-chożą z sąsiadujących ze sobą wsi Smiarowo i Rogiennice w gminie Mały Płock.

— Pobraliśmy się, gdy Kazik szedł do wojska. Miałam niespełna siedemnaście lat. Jak wrócił okazało się, że nie możemy pozostać w Rogiennicach. Jego starszy brat postanowił gospodarzyć na ojcowiznie. Na szczęście mąż miał fach, był stolarkiem. Wyjechaliśmy do Wałbrzycha. Po przeszkoleniu podjęłam pracę w tamtejszych Zakładach Bawel-nianych „Walim”, jako tkaczka z pensją 2000 złotych. Mąż dostał nie-co ponad trzy. Piętnaście lat temu to były dobre pieniądze. Mogliśmy nawet zaoszczędzić. Otrzymaliśmy mieszkanie z ADM-u. Na świat przy-szło troje dzieci — córka Dorota, oraz bliźnięta Barbara i Jacek. Ciągnęło nas jednak w rodzinne strony.

— Powietrze wałbrzyskie nie słu-żyło żonie — wtraca pan Kazimierz. — Decyzję podjęliśmy jednomyślnie. Mimo oczekujących nas trud-ności i perspektywy, że trzeba bę-dzie zaczynać od nowa. Ale tym ra-

zem już ze świadomością, że to na stałe. Początek był ciężki. W hotelu robotniczym LPPB, gdzie mieszkali-smy, urodzili się Robert i Beata. W sumie więc piątka.

— Pierwszą moją pracę w LPPB rozpocząłem w budynku przy ulicy Sadowej, potem był hotel „Polonez”. I tak poleciało, że do dzisiaj trud-no by zliczyć ile tych budów było. Na Śląsku budowlanych cenili lepiej. Za tę samą pracę otrzymywaliśmy wyższe stawki. Ale ze sprzętem do pracy to i tu, i tam było kruczo. Używaliśmy i, co najgorsze, do dzia-siaj używa się swoich narzędzi. Mi-mo, że na każdym zebraniu, i to nie tylko partyjnym, domagamy się o nie. Obiecywano że będą, że poczy-niono starania. I nigdy nie dano. Mówili, że się ich w Polsce nie pro-dukuje, a przecież chodzi o zwykłe pilniki, strugi, dłuta — proste na-rzędzia stolarskie do ręcznej robo-ty, bez których ani rusz. Do LPPB stolarka przychodzi z Sokółki. Dzia-siaj robi się ją mechanicznie, nie zawsze z suchego drewna. Jak przy-jdzie później wstawić tak wykonane okna i drzwi — nic nie pasuje. A jeszcze na dodatek projektant

wymyślił (pewnie dla oszczędności) zbyt delikatne okucia. Zawiasy i zamki są za słabe. Zespalone ramy okienne może i oszczędniejsze mate-riałowo mają poważne wady. Po-dobnie sprawa ma się z drzwiami. Krzywe metalowe ramy nie pasują do wypaczonych drzwi. Tracimy czas i należną nam premię..., która niejednokrotnie idzie na pokrycie kosztów nowych drzwi czy okien. Zgłaszaliśmy te fakty Radzie Zakła-dowej, na zebraniach partyjnych, ale bez skutku.

— Ja pracuję na trzy zmiany — przerywa pani Zdzisława. — I też dzieciom poświęcam zbyt mało cza-su. Cała trójka starszych przychodzi nam z pomocą dzieląc w miarę moż-liwości między sobą zadania. Doro-ta opiekuje się sześciolatkiem Rober-tem, Barbara — najmłodszą Beatką, a Jacek dba o zaopatrzenie rodziny. Codziennie rano przed szóstą jeździ rowerem po bułki, mleko i inne pro-dukt. Nie mają o to do nas preten-sji, gdyż wiedzą, że my ciężko pra-cujemy. W moim zakładzie najgor-sze są nocne zmiany. Kompletnie wyczerpują. Uważam, że kobiety nie powinny pracować w nocy. A w o-

góle praca cewiarzki na oddziale przygotowawczym jest najtrudniej-szą i najcięższą w naszym zakładzie. W ostatnim okresie postulowaliśmy, by podnieść u nas zarobki. To chyba niesprawiedliwe, żeby za tę samą pracę w Fastach czy Zambrowie płacono o 1000 złotych więcej. Pra-cujemy na akord. Dziennie powin-niśmy nawinąć sto piętnaście kilo-gramów przędzy. Trzeba się bardzo spieszyć, a tu ciągle brakuje czys-tych cewek. Nowych nie ma, a do czyszczenia starych mamy w bryga-dzie tylko dwie osoby, zamiast sześciu. Starsze koleżanki jakoś sobie radzą, ale młodsze szybko zniechę-cają się do pracy. Czy można się im dziwić? To prawda, że na przykład ostatnio otrzymałam z koleżanką po 50 proc. premii za ilość i jakość na-winiętej przędzy. Wprawdzie do po-borów ponad 2000, ale nie można było pozwolić sobie nawet na prze-rwę śniadaniową. Zmienia się czę-sto kierownika, bo za dużo produ-kujemy bubli. Ale nie wina to kie-rownika. Wydaje się, że praca na oddziale przygotowawczym nie po-winna być wykonywana w systemie akordowym, gdzie ważna jest ilość a nie jakość.

W pracy mamy same problemy. Dobrze, że dzieci nam się udały. Są posłuszne. W wolnych chwilach uprawiają sport. Dorota jest siatkarką, Barbara biega, a Jacek jest lek-koatletą. Zdobył nawet w tym roku czwarte miejsce w kraju w czwór-boju...

Przystuchujący się wypowiedzi mamy Jacek dodaje, że wraz z Bar-barą są uczniami klasy sporto-wej Szkoły Podstawowej nr 7. Ba-sia jest uzdolnioną sprinterką. W tym roku na sto metrów uzyskała dobry czas 13,6 sekundy. W Opolu byli nawet reprezentantami Polski w zawodach międzynarodowych. Trenują po trzy, cztery godziny dziennie, trzy razy w tygodniu. Opiekuje się nimi trener Kazimierz Kirejczyk.

Szesnastoletnia Dorota, uczennica Zespołu Szkół Rolniczych w Maria-nowie, należy do LZS-u. Starła się o stypendium, ale powiedziano jej, że rodzice za dużo zarabiają. Że są inne dzieci np. rolników, których rodzice zgodnie z zaświadczeniem wydanym w gminie zarabiają naj-mniej. Ale coś tu chyba nie gra. Od kilku lat pisze pamiętnik. Gdy do-wiedziała się o naszym „konkursie nastolatka” postanowiła wziąć w nim udział. Życzymy powodzenia.

GABOR LÖRINCZY



co u państwa słychać?



Uczestniczę codziennie przynajmniej w kilku zebraniach Niezależnych Samorządnych Związków Zawodowych „Solidarność” odbywających się w Łomży i w innych miastach województwa. Są to przeważnie zebrania, na których paru zapaleńców ogłasza powstanie tymczasowych komitetów założycielskich NSZZ „Solidarność” i nabór do nowego związku.

Jeszcze trzy-cztery tygodnie temu wydawało się, że ów związek tu nie dotrze. Dziś tym, którzy sądzili, iż wszystko pozostanie po dawnemu, „Solidarność” sen z oczu spędza.

Pracownicy Wojewódzkiego Ośrodka Postępu Rolniczego w Szepletowie przystąpili do organizowania związków prawie natychmiast po podpisaniu porozumień na Wybrzeżu i Jastrzębiu, podobnie w WSS „Spolem” w Łomży. Oba zakłady zasługują na uwagę jeszcze z innych powodów. WOPR, bo doszło tam do znamienitego współdziałania robotników z ludźmi nauki a WSS „Spolem”, gdyż pracownicy z tego zakładu pospieszyli z pomocą w zorganizowaniu „Solidarności” innym. Przedsiębiorczych załóg jest zresztą więcej. Świetnie zorganizowany POWOGAZ, Rejon Energetyczny, Zakład Doskonalenia Zawodowego. O sprawności organizacyjnej załogi ŁZPB „Narew” świadczy fakt, iż wystarczyło zaledwie kilka dni, by liczbą członków „Solidarności” przekroczyła dwa tysiące.

INFORMACJE POD KLUCZEM

Ale może po kolei. W Szepletowie dowiadujemy się, że dyrekcja nie pozwoliła powielić statutu nowych związków. Tuż przed zebraniem założycielskim pod klucz poszły wszelkie powielacze, koparki, maszyny do pisania. Nie było też nikogo z aktywistów „Solidarności” z regionu „Mazowsze”, bo dyrekcja nie wyraziła zgody na ich przyjazd. — Specjalnie to się temu nie dziwię — mówi Henryk Jarząbek, wiceprzewodniczący Tymczasowego Komitetu Założycielskiego, robotnik i były przewodniczący Komitetu Strajkowego. — Przecież w naszych postulatach strajkowych znalazł się głosy już dziś punkt nr 19 „dyrektorski”, w którym załoga domaga się zwolnienia aż trzech dyrektorów. Nasz związek zbada tę sprawę. W przypadku uzasadnionych zarzutów będzie domagał się konsekwentnego z nich rozliczenia.

— Przejdzie pan do „Solidarności”? — pytam przewodniczącego Rady Zakładowej, tej starej. — Jeśli wszyscy przejdą, uczynię to i ja. Póki co część ludzi pozostała w starej Radzie. Czy liczą na ducha odnowy i u nas, czy na mnie, naprawdę nie wiem. Może część z nich tylko się asekurowuje?

Wiceprzewodniczący „Solidarności” Henryk Jarząbek: — Już ponad 160 osób zadeklarowało przystąpienie do „Solidarności”, 50 jeszcze zastanawia się. Zapisują się i naukowcy i robotnicy. Przewodniczącym Komitetu Założycielskiego został inż. Stanisław Milewski. Nie ma podziału na inteligentów i robotników. Nie zadeklarowała się jeszcze dyrekcja, zakładowy szef partii, przewodniczący starych związków, no i dla solidarności ich żony. Nie ma zgłoszeń od części terenowych inspektorów. Jak zechcą to przyjmujemy i ich. Wielu z nas uważa, że lepiej pójść w nieznaną, jak brnąć w to co stare, ale i zgubne zarazem. Istnienie dwu związków zawodowych jest kłopotliwe, bo odrywa więcej ludzi od pracy. Widzę jednak i korzyść. Będzie z kim podyskutować, posprzezać się. Jest to potrzebne dla zachowania dobrego zdrowia związkowego.

Nasz statut jest tak pomyślany, żeby nie dochodziło do zwyrodnienia w kierownictwie związkowym. Minimum co dwie kadencje rotacja działaczy związkowych. To powinno uchronić nas przed nadmiernym zbrataniem się i uległością wobec dyrekcji. Mamy przewodniczącego, który nie jest strachliwy. Ludzie wierzą że nie zrobi ich w kónia. Podobnie się załozdę.

PIJ MLEKO

WSS „Spolem”. Robocza narada Komitetu Założycielskiego NSZZ „Solidarność” zarejestrowanego w Mazowszu (poz. 48 na 1600 zarejestrowanych). U wejścia na salę obrad zatrzymuje się przed tablicą



ogłoszeń: „Załoga Zakładu Inwestycji WSS w Łomży do Zarządu Centralnego Związku Spółdzielni Spożywców. 25.09.80 r. minął termin realizacji postulatów. Do dnia dzisiejszego załoga nasza nie otrzymała żadnej odpowiedzi co do sposobu załatwienia i realizacji wszystkich żądań i postulatów (...). Wychodzimy z założenia, że strajkować nie powinno się, ale takiego sposobu załatwienia spraw tolerować nie można”.

Na zebraniu obecny jest również dyrektor. Nie ma natomiast zaproszonego przewodniczącego „starej” Rady Zakładowej. Ktoś mówi, że nie chce przyjść. Od stołu wstaje Bogusław Baranowski — zastępca prze-

wodniczącego Komitetu Założycielskiego: „Jak to nie chce? Poruszamy dziś sprawy dotyczące wszystkich pracowników naszego zakładu. A on ktoś przecież jeszcze reprezentuje”.

Po kilku chwilach wraca na salę już z przewodniczącym Rady. Baranowski włącza się w żywiołowo rozpoczętą dyskusję. — Jedziemy jutro do Warszawy. Chcemy zawiązać w Łomży MKZ, i to już w środę. Wkrótce spotkamy się z kimś z „Mazowsza”. Będziemy występować wyłącznie w sprawach pracowniczych, dbać o sprawiedliwość społeczna. Nie chcemy mieszać się do polityki. Nie możemy brać współodpowiedzialności za sprawy, gdy decyzje podejmują inni.

Przewodniczący Rady Zakładowej: — Ja nie wiem, ile pracowników wystąpiło ze starych związków, bo nikt mi nie składał żadnych deklaracji.

— Nie musi — odpowiada przewodniczący Komitetu Założycielskiego „Solidarność” Marian Chojnowski. — W naszym statucie wyrażone jest, że pracownik może należeć

tylko do jednego związku. Zapisanie się do „Solidarności” jest równoznaczne z wystąpieniem ze starych związków. Do nas przystąpiła już ponad setka ludzi. Łatwo może więc pan policzyć, ile zostało. Nie chodzi o to, aby przeciągać się z jednej strony na drugą. Zadbajmy razem o dobro naszych pracowników i zakładu.

B. Baranowski: — Tak jest. Należymy do grona budowlanców, rzucmy więc na początek wspólnie hasło: „Pij mleko”. Wiedzę o czym myślimy, „Solidarność” nie może być ochronką dla tych, co lubią pociągać. Żadnego pobłażania. Sytuacja w kraju jest naprawdę bardzo ciężka i Polska potrzebuje dobrej pracy. Zwracam się do dyrektora: zgadzam

my się na surową ocenę. To powiedzmy sobie wyraźnie i bez niedomówień. Nie będziemy bronić żadnego zachłanego nógusa. Powiemy o tym wprost na ogólnym zebraniu załogi.

Dyrektor: — Nie chcę bronić pijaków, ale do mnie przychodzą żony zwalnianych za pijaństwo i domagają się, abym chował ich dzieci. To dla rodzin bolesna sprawa. Uwzględnijcie zawsze złożoność sytuacji.

Głos z sali: — Zaczniemy może od czegoś innego. Przecież konwojenci odbierają alkohol z magazynów na naszym placu. I od nich, tuż za bramą, robotnik może nabyć flaszkę. Pokusa i ułatwienie ogromne. Tu najpierw trzeba coś zmienić.

Jeszcze parę sta-owczych głosów i konkluzja: żadnej tolerancji dla pijących podczas pracy.

M. Chojnowski: — A co z produkcją? Przecież my więcej stoimy niż robimy. To ludzi irytuje, obniża nasze zarobki. Musimy doprowadzić do normalnego rytmu pracy.

Dyrektor: — Skąd wziąć cement? Bez niego nie ruszymy.

„Solidarność” Łomży



Znowa wymienia poglądów, postulatów do władz o rytmiczne dostawy materiałów budowlanych, szukanie środków zastępczych. Może — zastanawia się ktoś — przyjmować więcej robót z drewna. Łatwiej o nie niż o cement. Pozwoliłoby to zmniejszyć przymusowe bezrobocie i zwiększyć zarobki.

KIJEM RZĘKI NIE ZAWRÓCISZ

Wizyta w Zakładach Doskonalenia Zawodowego. Józef Robak, przewodniczący Komitetu Założycielskiego: — Myśmy nie strajkowali, sprawy swoje załatwiliśmy bezboleśnie. U nas w „Solidarności” już 200 osób. Nie agituujemy młodzieży uczącej się. Przyjdzie na to pora jak okrzepniemy. Tymczasem sporo jest tu zamieszania. Próbuje się nam administracyjnie zawiązać związek branżowy. Przyjechał wiceprezes naszej firmy i przemawiał w imieniu „nowych, niezależnych, samorządnych” związków. Nikt nie wie ile on liczy członków. My mamy wszystko udokumentowane i nikogo nie wprowadzamy w błąd. W Białymstoku powinniśmy raczej zająć się rozpatrywaniem naszych postulatów (do tej pory nie ma na nie żadnej odpowiedzi) a nie zawracaniem rzeki kijem. Zapewniam, że „daję”. Ale to lipa. „Solidarność” dąży do szybkiego załatwienia postulatów załogi. Uczestniczyliśmy już w tyrowaniu mistrza oraz rozdzielaniu nagród i premii. Byli przy tym także przedstawiciele starej Rady Zakładowej, „Solidarność” wiołała robotników, przyjęte później przez dyrekcję. Rada Zakładowa nie miała żadnych zastrzeżeń.

CO WYŚCIE DALI?

Wojewódzki Związek Spółdzielni Rolniczych „Samopomoc Chłopska”. Zebranie założycielskie NSZZ „Solidarność”. W malej salce tłoczno. Ktoś czyta fragmenty statutu oraz artykuł z biuletynu „Niezależność” wydawanego przez „Mazowsze”. Podczas luźnej dyskusji zabiera głos przewodnicząca Rady Zakładowej: — Nie widzę żadnej różnicy między starymi związkami, a „Solidarnością”. Nic ta „Solidarność” jeszcze nie dała i na pewno nie da.

Głos z sali: — A co wyście dali? Zebrani domagali się natychmiastowego przystąpienia do organizowania „Solidarności”. Jeszcze jeden podenerwowany głos: „Czy wolno utrudniać działalność „Solidarności”? Przedstawiciel Tymczasowego MKZ: — Nie wolno i nie możecie dać się wpuszczać w maliny. Zawsze znajdzie się ktoś, komu to będzie nie na rękę.

SOLIDARNOŚĆ Z PREZESEM

W zakładach, które odwiedzałem w dniach organizacyjnej krzątaniny wokół „Solidarności” byłem gościem mile widzianym. Z jednym jednak wyjątkiem. Wyproszono mnie za drzwi podczas zebrania organizacyjnego „Solidarności” w instytucji strzegącej praw obywateli. Oświadczono, że obecność dziennikarza jest tu dziś niepożądana. Pod drzwiami spora grupa kobiet (może też wyproszonych podobnie jak ja?). I komentarz: — Niech pan nie będzie tak bardzo zdziwiony, bo tu się zawiązuje „solidarność z prezesem”.

Wszędzie mogłem zaobserwować jak bardzo ludzie chcą odnowy w ich zakładach i jak mocno liczą w tym na „Solidarność”. Sporo też leku i obaw, ale to inny lek niż dyktorskie i prezesowskie rojanie. W dodatku mało kto wie, jak należy przystąpić do organizowania nowych związków. Trudno też o źródło informacji. Jeśli na jakimś zebraniu ludzie wyczują, że ktoś wie więcej, to nie może się już opanować od propozycji: „Wpadnij do nas, pomóż, ludzie chcą zorganizować się, ale nie wiedzą jak...”. Nikt nie odmawia pomocy. Solidarnie, jak nazwa związku nakazuje.

Na zebraniu założycielskim TMKZ pada wiele pytań. Odpowiedzi szuka się wspólnie. Widać jeszcze nieokrzesanie organizacyjne, ale nikogo to nie denerwuje. Później będzie z tym lepiej. Teraz ludzie potrzebują wzajemnej otuchy, odważnych słów. Padły one nieco później — na sobotnim spotkaniu w „Rozarze”.

LECH GIZELBACH
Fot. Z. GODZIEWSKI



polonez na górze lodowej

Lomżyńskie rolnictwem stoi — i dlatego leży. Tak jak upadło całe polskie rolnictwo. Doszło do sytuacji paradoksalnej i tragicznej zarazem: kraj mogący samodzielnie zaspokoić żywnościowe potrzeby całego narodu jest jednym z największych importerów zbóż i pasz, musi zaciągać przerastające już jego możliwości pożyczki, by społeczeństwo nie zasnęło głodem. Czy tak musiało się stać?

Mijający rok jest dla rolnictwa rokiem klęski. To prawda. Nie do końca ona jednak chyba do zbyt wielu osób. No cóż, przyzwyczailiśmy się do klęsk i... jakoś to szło. Zbyt często klęską żywiołową tłumaczono nam wszystkie narastające w ostatnich latach trudności. Utało się już powiedzenie, że mamy tyle klęsk, ile jest pór roku. Czy można się więc dziwić, że wieść o tej ostatniej puszcza się mimo uszu? A sytuacja w rolnictwie jest rzeczywiście katastrofalna. Wykopano zaledwie 30 mln ton ziemiaków, niewiele więcej niż połowę ubiegłorocznego zbioru. W dużej części kraju zamiast trzech pokosów trawy zebrano tylko jeden, a i ten nierzadko zgnił. Nadmierne deszcze przetrzebiły buraki cukrowe, a przedwczesne mrozy dokończyły dzieła — zamiast 16 mln ton zbierzemy tylko 10—11 mln.

To są realia wyznaczające warunki, w których przychodzi nam porządkować życie społeczno-polityczne i gospodarkę Polski. Myślę jednak, że byłoby bardzo źle gdybyśmy trudności w rolnictwie chcieli położyć na karb pogody i nieurodzaju. Stanowi to bowiem tylko jedną część prawdy. Druga jest taka, że na przykład jedna czwarta bardzo udanych ubiegłorocznych zbiorów ziemiaków zgniła, gdyż zabrakło przechowywania i mocy przetworczych. Gdybyśmy mieli je dzisiaj, na pewno inaczej myślibyśmy o nadchodzących miesiącach. W tym roku obrodziły zboża. Można by nimi wyrównać przynajmniej część niedoborów paszowych. Nadchodzi jednak wiadomość, że z braku magazynów zaparza się ono i niszczy. W tej sytuacji być może mniej bulwersuje fakt, że gdybyśmy mieli importowane środki do zwalczania mącznika na pszenicy, jej plony z hektara zwiększyłyby się o sześć kwintali. Trudniej już jednak przychodzi skonstatować, że oszczędzając 3 mln dolarów na imporcie pestycydów, potrzebnych do zwalczania szkodników w sadach, straciliśmy 20 mln dolarów nie mając co eksportować. To tylko niektóre przykłady świadczące, że na aurę nie można wszystkiego zważyć. Odpowiadają za to ludzie. Jacy? Chcielibyśmy się tego w końcu dowiedzieć.

Z wypiekami na twarzach mówią dziś wielu gdzie i jakie wille czy duże stawiali sobie nasi promieniści, jakie zachcianki przychodziły im do głowy i jakim luksusem się otaczali. Niedobrze jednak by się stało gdyby w ramach odnowy przyszło rozliczać tylko za to. Bo choć te właśnie przejawy wypaczeń są najbardziej widoczne, nie one przecież przyniosły największe szkody. Były one zaledwie szczytami gór lodowych, pod którymi kryła się nieodpowiedzialność i bluff, zarozumiałość i ignorancja. To właśnie było przyczyną, że mówiono o Polsce jako o dziesiątym światowym potencjale przemysłowym, a w gospodarstwach chłopskich musiano zmniejszać ilość nawozów sztucznych. Uruchamiano produkcję polonezów, a na wsi coraz bardziej brakowało wody. Budowano największą i nowoczesniejszą na świecie hutę, a w zagrodach nie było widać. Zakupiono licencję na Fergusona, a gminy nie miały czym latać dziur w drogach.

Za tworzenie pozorów, kiczowatej scenarii, przychodzi nam płacić wysoką cenę. Powinni ją jednak płacić wszyscy. A w szczególności ci, którzy zamiast budować bezpieczny i dostatni dom tworzyli fasadę i propagandę sukcesu. Na pewno różna jest skala tej odpowiedzialności. Jednakże jej uświadomienie powinno być ważnym składnikiem naprawy naszego życia.

MAREK ROSIŃSKI

trzy godziny szczerości

DOKOŃCZENIE ZE STR. 1

będzie można ten projekt zmienić. Bałysmy się, że jeśli zostanie zatwierdzony taki, jak nam przedstawiono, to później trudno będzie go zmienić. Co więc nam pozostawało? Poprosiliśmy także o przyjazd członka Zarządu Krajowego Związku Spółdzielni Zabawkarskich z Kielc.

Prezes spółdzielni Henryk Jakubowski uważa, że największym problemem jest spełnienie postulatów płacowych. Nie chodzi o to, że nie ma środków, te są. Ale brakuje jednoznacznych wytycznych. Korrespondencja z Krajowym Związkiem Spółdzielni Zabawkarskich rozpoczęła się 16 września. Wtedy to nadesłano informację, że podwyżki będą sięgały od 400 do 700 złotych. Na wrześniowej naradzie w Kielcach polecono spółdzielni przygotowanie projektu podziału podwyżki. Wtedy było wiadomo, że nie powinna ona być niższa od 600 złotych. Kierując się tymi sugestiami księgowość przygotowała projekt, w niektórych wypadkach podwyższając pensje o 1210 złotych. Okazało się, że cała robotę wykonano na darmo. W końcu października przyszło pismo z Krajowego Związku Spółdzielni informujące, że obliczeń należy dokonywać biorąc za podstawę zarobki w październiku. Przygotowano więc kolejny projekt, w którym okazało się, że pracownicy nie zatrudnieni bezpośrednio w produkcji otrzymają ponad 900 złotych podwyżki, zaś produkcyjni ledwie 300 złotych. Ta wiadomość zbulwersowała załogę, była bezpośrednią przyczyną strajku.

Dopiero na trzeci dzień 6 listopada o godzinie 10.00 przyjeżdża kierownik wydziału ekonomicznego Krajowego Związku Spółdzielni Zabawkarskich. Najpierw narada u prezesa spółdzielni. Załoga po ośmiu godzinach wyczekiwania żąda spotkania z przedstawicielem związku z Kielc. Nie u prezesa, ale w hali produkcyjnej. Sładamy na stosach materiałów, przy stołach, wśród wpychanych koni i zajęcy. Kobiety rozżalone, zdenerwowane wielogodzinnym oczekiwaniem, ale zdecydowane.

— Chcemy, aby na jednego pracownika przypadało przynajmniej po 600 złotych. W skład tej podwyżki nie może wchodzić premia i dodatek za wysługę lat. W tym miesiącu możemy otrzymać wyższą premię, w przyszłym zabraknie surowca i otrzymamy niższą. Jednym słowem, chcemy otrzymać angażę do ręki i według trzeciej grupy.

— Sądzę — odpowiada kierownik z Kielc — że nie ma przeszkód aby dać wam trzecią grupę. Co prawda na korzystanie z niej może zezwolić tylko prezes krajowego związku, ale myślę, że zgodzi się. Teraz większość z was zarezerwowana jest do IV grupy, ale jest to przecież różnica niewielka, wynosi 20 groszy.

— Właśnie, dlatego chcemy, aby podniesiono nam grupy.

— Przynależność do grupy określa czynność, którą wykonujecie w produkcji.

— Chcemy więc wyższego wynagrodzenia za wykonanie określonej czynności.

— No, dokonanie takiej zmiany nie będzie łatwe, ale może całoby się przesunąć w niektórych przypadkach o jedną, najwyżej dwie grupy.

— Chodzi nam o to, abyśmy zarabiali przynajmniej po 15 złotych za godzinę. Taka powinna być minimalna stawka.

— W tej chwili nie mogę konkretnie obiecać jaką wysokość zatwierdzi zarząd. Poza tym wyliczenie właściwych kwot musi potrwać kilka dni.

— To co, wyjdziemy z tej sali z pustymi rękami?

— Nie możecie zapominać, że nie tylko wy pracujecie w tym zakładzie. Was jest trzydzieści, a w zakładzie pracuje około pięćset osób. Co inni powiedzą na takie preferowanie waszego działu? Poza tym oni nie strajkują, rozumieją trudną sytuację zakładu.

— Nie strajkują, bo mają lepiej; tylko nasz dział był pokrzywdzony, najniższe zarobki, najcięższa praca. Powinno się to wyrównać.

Padają zarzuty, długo hamowane, nagromadzone od dawna. Dyskusja co chwila rwie się. Jak to kobiety — chcą jak najszybciej najwięcej powiedzieć. Wiele pretensji kierują do kierownictwa zakładu.

— My już chyba z panem prezesem nie dojdziemy do porozumienia. Najbardziej zabolął nas dzisiejszy dzień. Po tylu latach pracy kazal stać kobietom na klatce schodowej. Tak traktuje się własną załogę? Zdarzało się, że była pilna robota. „Kobietki, pomóżcie”, prosił prezes. Każ-

da wie, że trzeba, więc pracujemy. Później przychodzi nagroda, tysiąc złotych na nasz wydział. Jak my mamy je podzielić, nawet na północznych nie starczy. Prezes otrzymuje roczną nagrodę za wykonanie zadań, zdarza się, że i po dwadzieścia tysięcy. Takie są przepisy, nagrodę przyznają władze nadrzędne. Ale jeśli zadanie wykonaliśmy własnymi rękami, to czujemy się pokrzywdzone. Inna sprawa, stawki osobistego zaszczerowania. Niejednokrotnie prosiliśmy prezesa o ich podniesienie. Odpowiadał wtedy: „Niewiele wam to da”. Prezesa nie ma często w zakładzie, bo — jak twierdzi — musi sam dbać o zaopatrzenie. Ale chyba niewiele udaje się mu załatwić, ponieważ do dwudziestego każdego miesiąca nie mamy z czego produkować, a potem, w ciągu kilku dni odrabiamy opóźnienia. Prezes za mało dba o nasz zakład. My borykałyśmy się z brakiem surowców, a on w tym czasie pojechał na Olimpiadę. Jest działaczem sportowym. Czasem myślimy, że ważniejszy jest dla niego klub sportowy niż zakład. A my nie mogliśmy się doprosić o buty zdrowotne. Tyle razy chodziliśmy do behapowca, do prezesa. Zawsze odpowiadano, że nam nie przysługują.

Prezes próbuje odpowiadać, lecz co chwila przerywa mu ktoś z załogi. Wyjaśnienia giną w komentarzach. Nikt nie słucha, nie czuje się przekonany. Trzy godziny szczerości to o wiele za mało. Brakowało takich godzin przez wiele lat.

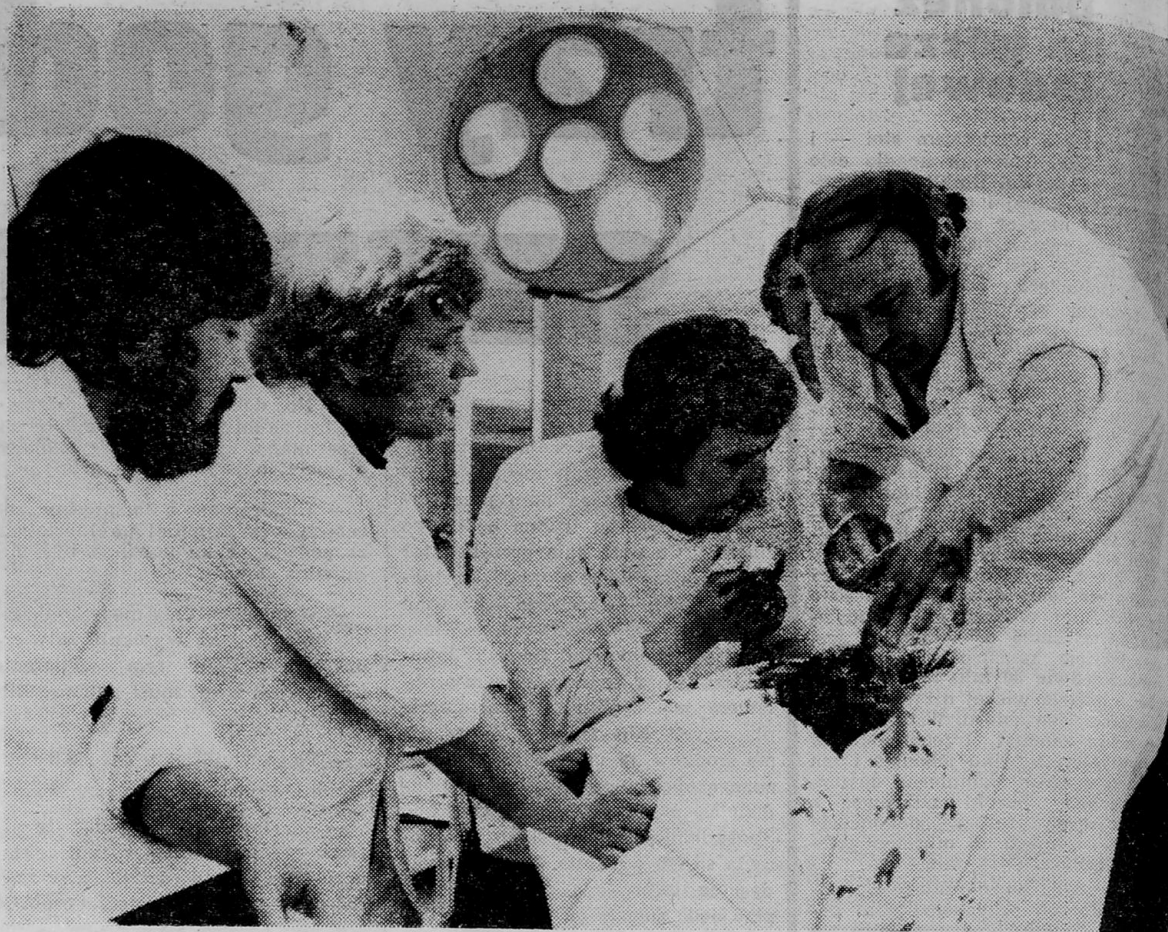
WIESŁAW KOŁOWSKI



interwencje



Wiedza i weterynaria



Tadeusz Krajewski, inżynier zootechnik z Krajewa Budził pod Szumowem, hodowca całą gębą, do swego stada trzystu świń i kilkunastu krów lekarza weterynarii nie przywołuje prawie nigdy. Zdarza się nawet, że i sąsiedzi ze wsi wzywają go nocą na ratunek inwentarza. Bo Krajewski nie tylko przykróci prosiakom kły, przytnie pępowinę i wstrzyknie żelazo, ale także bydlętom i koniom potrafi udzielić pierwszej i drugiej pomocy. Darmo jednak rozglądać się po województwie łomżyńskim, ba — po wielu, wielu innych — za takim poręcznym hodowcą i za gospodarką na taki polysk.

Specjalista Święcki z Czyżewa, kiedy zajdzie potrzeba — dzwoni po lekarza nie do macierzystej lecznicy w Czyżewie, ale do Łomży, do samego dyrektora Wojewódzkiego Zakładu Weterynarii. — Doktorze Stypuła, czy możecie przysłać do mnie fachowca chorób owiec, bo miejscowi mogą nie poradzić? I Jan Stypuła czyni zadość diktum Święckiego, choć na czyżewską weterynarię żaden rolnik ziego słowa nie rzeknie.

W kolonijnych wioskach wokół Goniądza, Trzciannego, Gródka, Michałowa, Puńska, Berznik, a zapewne i gdzie indziej praktyczni chłopcy starej doty własnym sumptem wypracowali sposoby leczenia zwierząt. Nieraz widziałem jak chłopina w oczekiwaniu na weterynaryjne pogotowie kadził jałowcowym dymem nad dogorywającym ogierem, jakby śmierć chciał od niego odpędzić. Doktor Stanisław Wiśniewski z Łomży, na prośbę, by opowiedział o znachorskich praktykach w gospodarstwach wiejskich, najpierw odrzuca temat. — Dziś tego nie ma — rzece oschle. Rozumiem go, bo czyż heretycki proceder nie oznaczałby votum separatum wobec ogólnie przyjętych zasad rozwoju lecznictwa i profilaktyki w hodowli zwierząt gospodarskich?

Mówimy więc o znachorstwie jako o zjawisku zaprzeszyłym, ale tu i ówdzie kultywowanym z pietyzmem do dziś. Co by nie powiedzieć, zalecane dokładnie 200 lat temu leki i metody leczenia zwierząt, przez Krzysztofa Kluka opisane w czterotomowym dziele „Zwierząt domowych i dzikich osobliwie krajowych. historii naturalnej początki i gospodarstwo”, za które Stanisław August Poniatowski nagrodził w 1781 roku Kluka złotym medalem, i teraz znajdują codzienne zastosowanie.

Przyrodnik-naukowiec i proboszcz ciechanowieckiej parafii wzywał hodowców do podawania chorym zwierzętom cynamonu, imbiru, liści bobkowych, pieprzu, skórek pomarań-

czowych, wina czerwonego i białego, wódki francuskiej, gorzałki, octu winnego, miodu, śmietany, maski jałowca, pokrzywy, dziurawca, piołunu, ruty i wielu innych roślin oraz używek. Jak podaje literatura, środki lecznicze zalecane przez Kluka uratowały wtenczas wielkie stada zwierząt przed zagładą.

Skoro jesteśmy przy historii, to i Kluk przestrzezał przed wiarą w czary. „... Nigdzie więcej niemasz niestusznego mniemania o czarach, tak koto mleka, lubo przyrodzone tego bywaia przyczyny. Jeżeli mleko zginie, nie sąsiadka temu winna ani iaskółka, tak mówią, gdy krwa- we jest, nie żadne czary, gdy się ciągnie, gdy schudnie itd., lecz ną- dziesz tak przyczyny iak sposoby le- czenia w Paragrafie o chorobach” — pisał.

Nie wszyscy słuchali uczonego księdza. Jak podają kroniki, a w Ciechanowcu dokumenty te pieczęlowie przechowuje i składa w powstającym Muzeum Weterynarii doktor Jan Bondarenko — kierownik miejscowej Lecznicy Zwierząt. W tymże miasteczku w 1777 roku pogłowię bydła zdzięsiatkowała epidemia księgosuszu (zakaźna wirusowa choroba przewodu pokarmowego). Z siedmiuset sztuk przeżyło wówczas siedemdziesiąt. Kluk skomentował to: „tak się zaraźliwie między bydłeta wplą- tały choroby, iż gospodarstwo kra- iowe bardzo wiele na tym szkodzi”.

Wyginiecie kilkuset sztuk bydła w Ciechanowcu dwa wieki wstecz odbiło się gromkim echem poza granicami Rzeczypospolitej. Dzisiaj wiadomości tego rodzaju są poufne, tylko do użytku służbowego. Taką właśnie pieczętą odbiło na sprawozdaniu z działalności państwowych gospodarstw rolnych w Polsce za rok gospodarczy 1979/80. W środku broszury stoi czarno na białym: w rze- czonym czasie w PGR-ach padło 642 tys. sztuk prosiąt i cieląt. Jeśli dodamy upadki w innych modelowych spółdzielczych gospodarstwach — RSP i SKR-ach, uzbieramy ponad milion sztuk małych zwierząt. Gdy weźmiemy całe rolnictwo, wszystkie bydłeta oraz świnię — będą dwa miliony zmarnowanego pogłowia. Parę setek tysięcy ton mięsa rocznie.

Czy nie ma na to ratunku? Cóż na to praktyka weterynaryjna? Gdyby wziąć uwiarygodniony ostatnio rocznik GUS-u i policzyć, to wyjdzie nam, że na każdego z 6700 lekarzy weterynarii w naszym kraju przy-

pada sześć tys. sztuk zwierząt gospodarskich (dwa tys. sztuk bydła, ponad trzy tys. sztuk świń, 630 owiec i po 300 koni) nie licząc 13 tys. sztuk kur, kaczek i indyków oraz ileś tam psów. Dużo ma roboty weterynaryj w Polsce (zawsze sądziłem, iż owe określenie ma zabarwienie pejoratywne, ale lekarze weterynarii nie podziwiają zdania), czy też nie? W Japonii na przykład — a pojawiły się ostatnio zdania, że gospodarczo Polska ma szansę być drugą Japonią — na człowieka w białym kitlu w obozie i chlewni przypada czterysta sztuk zwierząt. A już jako ciekawostkę podajmy — w tejże Japonii dwóch lekarzy weterynarii leczy jedną owcę, zaś spośród 23 tys. specjalistów ponad 5 tys. osob posiada prywatną praktykę, jak w XIX-wiecznej Polsce na włościańskich dworach.

Ma zatem rodzimy lekarz czym się zajmować. Ale statystyka ujawnia ledwie półprawdę. Pracownicy lecznicy weterynaryjnej w Zambrowie, obsługujący teren siedmiu gmin, dziewięćdziesiąt procent czasu i ilekroć poświęcają słynnej w całej Europie fabryce mięsa wołowego w Grądach Wonięckich i Sulinie. Lekarze opiekujący się zwierzętami na wielkich fermach — jak na przykład w Kombinate Wizna hodującym dziesięć tysięcy byków w jednym rzucie — mogą odpowiedzieć, skąd te choroby i duże nakłady, a marne wyniki.

— Fizjologia zwierząt nie znosi wysokiej koncentracji pogłowia. Bukaty na twardym, betonowym podłożu chodzą jak na szczydach. W wielkim stadzie krowa nie czuje się dobrze, daje mniej mleka, a zwielokrotnia się możliwość wybuchu epidemii. Fermy możemy ratować tylko strzykawkami, ale coż to za hodowla na antybiotykach? — zapytuje doktor Stypuła.

Samy lekarze weterynarii uważają „specjalizację usług” za zjawisko nieetyczne, niemoralne. Ta specjalizacja, to najpierw wyjazd na fermę, bo wiadomo, tam najwięcej zwierząt i największe zagrożenie poniesienia strat. A zaraz potem — obsługa tzw. gospodarstw specjalistycznych. Doktor Bondarenko tylko w gminie Ciechanowiec ma 123 takich pupilków. Im w pierwszej kolejności należą się leki, szczepienia, profilaktyka. Każde takie gospodarstwo można obejrzeć bez wyjazdu na wieś. W gabinecie szafie Jana Bondarenki ustawiono 123 skoroszyty, jeden na jednego specjalistę, a w nich setki rubryk, poziomych i pionowych — co, gdzie, kiedy, ile i za ile, przyczyna i skutek, padło czy żyje i te de, i te pe.

Biurokracja też opanowała weterynarię. Brakuje tylko, by lekarz weterynarii otrzymał prawo wypisywania ulgowych recept (penicylinę dla psów przepisuje służba zdrowia, rzecz jasna temu właścicielowi, który „ma dojsć”), a pewnie i te musiałby księgować. Doktor Stypuła i jego zastępca bronią jednak administracyjnych zasad panoszących się w lecznictwie weterynaryjnym. Jako dowód przytaczają, że dyżurują raz w miesiącu. Od piętnastej do ósmej rano dnia następnego oczekują pod telefonem na „klientów”. I że zdarza im się w inne dni wyjechać w teren. Ale tenże dyrektor Stypuła przyparty do muru konstatuje, iż wiele czasu zajmują mu problemy podległych 124 lekarzy terenowych i ich pomocników. A żeby zapewnić sprawne poruszanie się personelu między wioskami dyrekcja zdobywała fortelami dziesięć „Gazów” z demobilu oraz czterdzieści wybrakowanych fiatów 126p i sama sprowadzała samochody z Tych. A żeby wprawić szybą w budynek trzeba błagać u wojewody o limity. Aż dziw, że dysponując aparatem administracyjnym lekarze nie muszą władzę częściej piórem niż strzykawką.

A tu przecież trzeba utrzymać pogłowie w kondycji. — Weterynarii nikt nie zastąpi. Jakież dziesięć lat temu moja klacz przebiła się drągiem. Jelita wypłynęły na wierzch, kobyła wierzgała jak porażona. Czekałem na jej śmierć. Przyjechał doktor Bondarenko po pół godzinie, ale myślałem, że tylko świadectwo wypisze. A on zabrał się do operacji. Uspłł „Klarę”, pozszywał wnętrzności i brzuch. Na drugi dzień zachodzę do stajni i patrzę — koń żyje. Jak się cieszyłem! I do dziś pięknie chodzi — wspomina Józef Markowicz z Konarzyc.

— Asystowała przy operacji cała wieś i koniuszy, który służył w wojsku w 1914 i w 1920 roku, a potem w czasie drugiej wojny, leczył zwierzęta. Wszyscy potrzaskali głowami: niech doktor dobije i nie męczy klaczy — życzliwie podpowiadali. A następnego dnia co dziesięć minut przychodził do mnie delegat z Kona-

rzyc z wieścią — panie doktorze, Markowicza klaczka żyje! Poczułem się bardzo wsi potrzebny.

Bez autograficznej postawy Jana Bondarenki i chłopskich opowieści i tak wiemy wszyscy, że hodowca weterynarzowi ufa. W przypadku Ciechanowca owe zaufanie przybrało nieprotokolarne wymiary. Rolnicy właśnie zdecydowali o postawieniu lecznicy dla zwierząt z prawdziwego zdarzenia. Od października roku 1976 do maja 1978 tysiące chłopów pracowało przy wznoszeniu obiektu; wioska Tworkowice dała żwir, Kozarze — traktory i furmanki, Antonin przysłał list: „Antonin 7.XII.76 r. Panie doktor ja wysyłam dziś resztę chętnych ludzi do roboty, tak że dzisiaj Antonin kończy swoją robotę. Jak trzeba będzie przyjdziemy znowu. Pieczętka — Sołectwo Antonin, sołtys, gm. Ciechanowiec”. I podpis.

Wszystkie te listy — dowody, Jan Bondarenko starannie złożył i zamknął w kasie pancernej. — Tak bardzo wieś chciała mieć lecznicę. Przedtem gospodarz prosił wyrzucić za miedzę, by odeszły z obejścia choroby. Dzisiaj przywozi nam do zbadania i chce wiedzieć — dlaczego padło.

Z tego paramilitarnego zawodu się nie odchodzi, a zresztą — dokąd? Chyba, że ktoś musi. Musiał na przykład zmienić pracę Mieczysław Chojnka. Lekarza weterynarii z 20-letnią praktyką przekwalifikowano na instruktora spółdzielczości mleczarskiej bo oto raptem przy pracy pękło mu ścięgno w prawej ręce, a bezwładna ręka w weterynarii z zawodu wyklucza. Szczęście, że ścięgno się zrosło i pan Chojnka znowu robi to, co umie i lubi.

Znam lekarza z województwa białostockiego, który przez parę ładnych lat z małymi przerwami chodził z wysoką gorączką — 39, a nawet 40 stopni. Nabawił się brucelozą. Od krowy. A „luź weterynarzy cierpi na przewlekłe bóle stawów i mięśni? Choroba goścowa — to choroba dana im z zawodem. Lekarze nie strakowali nigdy, ale postulaty swego

środowiska też zgłosili. Pierwszy brzmiał: uznać gościec za schorzenie zawodowe. A potem żądali wymiany zdezelowanych samochodów osobowych co cztery lata, zapłaty za przejechany kilometr w terenie równającej się czwartej części ceny litra benzyny, no i lepszych pensji.

O sytuacji finansowej wiejsko-gminnych lekarzy weterynarii i medycyny — krążą legendy. Doktor Bondarenko na przykład przez piętnaście lat pracy dorobił się sfatygowanego wartburga z giełdy, służbowego czteropokojowego mieszkania przeciętnie umeblowanego, ale za to z kolekcją carskich lamp naftowych. Na koncie w banku ma jeszcze 400 zł do pobrania i ponad 25 tys. do oddania. Doktor Chojnka z kolei zarabia 4200 zł plus 20 zł za każdą godzinę dyżuru i 600 zł dodatku za staż pracy. — Jeśli poświęcę w miesiącu siedem nocy, dociągnę do siedmiu tysięcy — chwali się.

Zostać spektakularnym weterynarzem pragnie chyba ten, kto nie znalazł meandrycznych tajemnic profesji. Mimo tego wydziały weterynarii Akademii Rolniczych w Warszawie, Lublinie, Olsztynie i Wrocławiu — przyjmujące corocznie plus minus po stu kandydatów, cieszą się wzięciem. Pięciu na jedno miejsce — jak podała prasa w lipcu 1980 roku. Profesjonalne grono średnio rocznie — tak jest od 1960 r. — powiększa się o 170 lekarzy weterynarii.

A są jeszcze technicy, felcerzy. Łomżyńskie Technikum Weterynaryjne opuszcza rocznie 80-90 absolwentów. Część z nich studiuje, co trzeci znajdzie pracę w terenowej placówce, dla większości nie starcza stancji i pokoi służbowych. Jakby nie liczyć i porównywać — ta kadra nie jest w stanie utrzymać krajowego pogłowia 40 mln sztuk bydła trzody, owiec i koni oraz 85 mln sztuk przydomowego ptactwa w należytą kondycję. Nie liczymy jeszcze psów, choć z doświadczenia wiemy, że żaden lekarz nie odmówi im opieki weterynaryjnej.

Pięć lat temu, w 1975 roku, rząd nasz spostrzegł lukę, a raczej wyrwy w weterynaryjnej działalności. Para-

grafami Uchwały Rady Ministrów zapowiedziano wydatne poprawienie bazy materiałowo-technicznej oraz zwiększenie produkcji środków bio-weterynaryjnych.

— My całe środowisko — przed pięciu laty cieszyliśmy się jak dzieci, że w końcu dostrzeżono nasze potrzeby. Wiem że ostatnio minister rolnictwa złożył informację premierowi mówiącą właśnie o stopniu wykonania tej uchwały. Niestety, nie odczuliśmy najmniejszego postępu, i to w żadnej dziedzinie — ocenia realizację rządowego dokumentu Jan Stypuła.

Może to, co teraz powiemy, dla rządowej uchwały jest nieważne, ale dla ludzi — tak. Od kiedy zapowiedziano wzrost produkcji środków dezynfekujących do aparatury udojowej, coraz trudniej było o te specyfiki. Indywidualny rolnik i dojarka w pegeerze myją dziś konwie i przewody gumowe, całą aparaturę — proszkami do prania, szamponami albo kokosalem. A potem dyrektor mleczarni jest wściekły. Co za mleko, że masła nie można zrobić? Co za mleko, że się nie kwasi?

To jeszcze nie najgorsze. Ale kto myśli o zdrowiu ludzi i zwierząt? Przecież detergenty są środkami toksycznymi. Doktorzy: Stypuła, Wiśniewski, Bondarenko i Chojnka są bezradni. — Na brak zdrowych zmysłów nie ma siły — oto ich głos. Oni mówią, a kto ich wysłucha?

Lekarz nadworny króla Stanisława Augusta Poniatowskiego — Jan Herzenschwand radził swemu panu: „Każde państwo, które moc i bogactwo swoje zakłada na liczności zdrowych i mocnych ludzi i bydła (czyli zwierząt — dop. autora), największe na ten koniec ma położyc starania”. Ta racja po dzisiaj upomina się o swój byt. Ale jak można wprawić w ruch maszynerie, która nie pobiera — niczym — perpetuum mobile — energii? Koncepcje darmowe należą do cudotwórczych. A cudów po prostu nie ma.

Fot. ROMAN SIENKO



rolnictwo - wiedza - postęp



kontakty kontaktów

Opublikowany w numerze 17 „Kontaktów” list „Łomżyński” poruszył zapewne szerokie kręgi czytelników. Jak dotąd, zdecydowana krytyka na list odpowiedziała pani Danuta Sobolewska. Wydaje się jednak, że zarówno pierwsza, jak i druga publikacja nie sprzyja poruszonemu sprawom. Rozsądna część stałych mieszkańców Ziemi Łomżyńskiej oczywiście nie przysłuchuje się brzmieniu nazwisk osób piszących w tygodniku, nie obarcza również redaktorów odpowiedzialnością za obecny wygląd miasta. Rzecz w tym, aby niezgodą nie rujnować, ale mądrą pracą przyczynić się do poprawy obecnego stanu naszego pięknie położonego miasta. Znamy są w Polsce ośrodki o równie silnym przywiązaniu mieszkańców do swojej ziemi. Przywiązanie to wyrażają jednak autentycznym wkładem pracy, gospodarnością, szacunkiem mienia społecznego, wysoką kulturą współżycia. Sądzę, że ważne jest, aby wyzwać inicjatywy poprzez rozmowy z czytelnikami i ludźmi odpowiedzialnymi za istniejące niedociągnięcia. Sprawa ta na pewno jest trudna i wymaga zaangażowania. Na tym polu powinna jednak rozwijać swoją działalność redakcja „Kontaktów”.

ŁOMŻYNIAK II
(nazwisko znane redakcji)

★

Czy można łaskawie zapytać twórców rubryki „Co u państwa słychać” na jakiej zasadzie odbywa się wybór rodzin do przeprowadzania wywiadów i zamieszczania ich na łamach tygodnika? Bo coś może obchodzić mnie np. rodzina państwa Danielewskich, opisana w którymś numerze „Kontaktów”, że codziennie chodzą do pracy, że dziecko idzie do szkoły a widok z okna jest na halde węgle. Muszę powiedzieć Wam, że w Łomży są tysiące rodzin chodzących codziennie do pracy, a dzieci do szkoły. Widok z okna ja mam o „całe niebo” ładniejszy. Uważam, że warto byłoby popenetrować trochę teren i jeżeli już przeprowadzać wywiady, to z ludźmi ciekawymi, którzy mają coś do powiedzenia lub pokazania? Również w pokazywaniu, dobrych i złych stron województwa może piekielnie mogłyby przestać wyręczać naszych redaktorów. Szerze się Wam przyznam, że dostaję autentycznych młodości, kiedy biorę do ręki kolejny numer „Kontaktów” i spojrzę na tę „diabelską stronę”. Dobrze to było, ale w kilku pierwszych numerach.

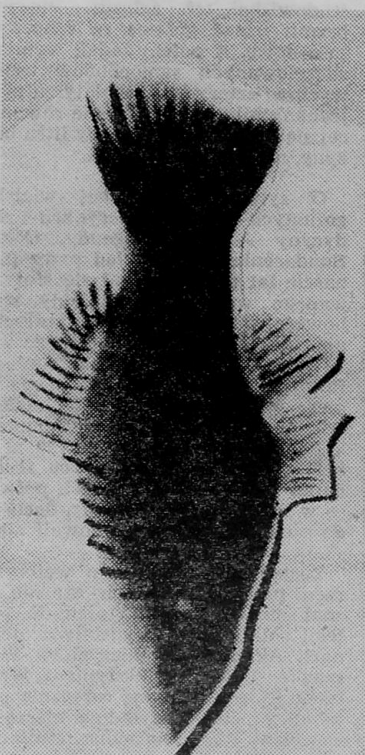
Nie tylko jednak o negatywach Waszego pisma chciałam napisać. Macie też u mnie sporo plusów na swoim koncie za „Punkt widzenia”, „Polemiki”, „Refleksje” — „Na pięciolini”. Największy plus stawiam za powieść Włodzimierza Sokorskiego — „Zostać sobą” i reprodukcje zdjęć, które są tam zamieszczane.

DANUTA KALISZEWSKA
Łomża

★

Proszę o interwencję Waszego tygodnika w sprawie balaganu oraz niebezpieczeństwa dla ludzi pracujących i korzystających z bocznic kolejowej w Zambrowie, przy Alei Wojska Polskiego. Bocznicą powyższą służy do rozładunku wagonów towarowych, ale również jako droga do gospodarstw przy niej położonych. W godzinach szczytowych rozładunku jest tyle wagonów i samochodów, że przejście jest wręcz niemożliwe. A przecież to jest jedyna droga. Poza tym utrudnia ją gruba warstwa błota powstałego z rozsypanego przy przeładunku węgla, nawozów sztucznych i materiałów budowlanych (drogich, deficytowych towarów). Gdy spływa ono na sąsiadujące z bocznicą posesje spalone zostają zasiewy, a nawet usychają drzewa. Wystarczyłoby przecież trochę gospodarskiego spojrzenia, które każe wyasfaltować ten odcinek bocznic, z boku odprowadzić spływającą wodę, a ludzi odpowiedzialnych za porządek zobowiązać do sprzątania placu po każdym rozładunku i już zapobiegłoby się powstawaniu tych strat.

(nazwisko i adres do wiadomości redakcji)



grube ryby i węgorze

DANUTA
I ALEKSANDER
WRONISZEWSKY

DOKONCZENIE ZE STR. 1

— Gadamy, piszemy. Wiele to pomaga?! Już i do Generalnej Prokuratury się zwróciłem. Ciekawe, kiedy i jak zareagują. Opisałem, że sekretarz KG PZPR kłusuje i służba rolna kłusowała. Wzmiankę o naczelniku też dałem, że często samochody zmienia i dom jeszcze buduje.

— A kierownik ośrodka wczasowego? Cała rodzina pracowała w ośrodku. Elcka firma budowała tam jakieś państwowe budynki. Część materiału poszła zaraz do Elku. Okazało się, że kierownik buduje sobie prywatny dom. Jest w ZSL-u, a jak sobie pozwala! Zginęła brama. Zgłosił milicji, żeby szukała, a ona tymczasem spokojnie na jego prywatną budowę do Elku poszła.

— Naczelnik Chrzanowski z wazlika tu przyjechał, a teraz nie wiem, czy w pięć samochodów by się załadował.

— Urządził się dobrze. On — naczelnik, żona — kadrowa w Urzędzie. Trochę szumieli, to musiał ją do banku odesłać. Ale zostały trzy inne z rodziny, co „wujku” do niego mówią. Zgrana rodzinka.

— Jak zrobili tu kontrolę (może po tym, co ludzie pisali), to trza było zobaczyć, jak oni latali. Do BGŻ-u pojechali, stary namiot wzięli, zupełnie do niczego, byle tylko mieć na stanie, bo go w Urzędzie faktycznie nie było. Ale pieniądze rozchodowane. Jacht nowy też miał tam być. Rachunki znaleźli, a jachtu nie ma i nie było.

— A jak pracownicy nosili na powrót te meble, co z prezydium i GOK-u do prywatnych domów po-brali! Całą noc był ruch.

— Z tymi przydziałami traktorów to też jawna niesprawiedliwość. Izabelak ma ziemi ze dwa hektary i dostał, a inny ma dwadzieścia i nie dostanie. Takiemu Wierciszewskiemu, co ma 35 hektarów i bydła do cholery, to się niby nie należy? Parę lat czeka na traktor.

— Albo z tym kłusownictwem. Głośno o nim w całej okolicy, nawet w Grajewie. Nasze władze kryć się nie muszą. Kto ich ukarze? To żadna tajemnica w Rajgrodzie.

— Pomyśleć: gospodarze miasta. Powinni pomagać zwalczać kłusownictwo, a oni taki przykład dają.

— Inni chociaż się kryją. A sekretarz Rutkowski nie przejmując się wcale. On wie, że chociaż my i w protokołach, i w skargach o tym piszemy, to jemu i tak nie nie zrobią.

— Kiedyś po naszym protokole ktoś z Białegostoku prawdopodobnie przyjechał, ale do nas nie doszedł. Do ósmej wieczorem u naczelnika siedział.

— Rutkowski jeszcze pewniejszy swego. Spotkał mnie ostatnio i pyta: „Co słychać?” Ja na to: „Żle o panu mówią”. A on: „A tam, co oni mnie mogą zrobić?”

— Gdyby tak któryś z nas na ryby zakłusował, jak on, ukarałiby bez gadania.

— Tylko co to za kary: mandaty po 350 złotych. Według przedwojennego kodeksu. Ale wtedy za 350 złotych były dwie krowy, a dziś...

— To i kłusują; w rzece, na jeziorach. Prądem często biją. Sekretarz też kazał jednemu na słup wiazić i prąd podłączyć. Tylko że tamten nie nie powie. Nie przyzna się do pomagania w kłusownictwie. Boją się wszyscy.

— Oho, przez to kłusownictwo prądem niejednego tu potrząsało.

Czasem przy podłączeniu, czasem rzece.

— Kłusowników trudno na łowisku uchwycić. Zawsze, jak widać strażnika, może rybę do wody wrzucić i już nie ma dowodu.

— Wystarczy poobserwować wędarni. Wacek wędzi wszystkim, którzy chcą: i dyrektorowi, i milicji, i każdemu, kto przyniesie rybę. Jego można zapytać, kto ile przynosi. Calutkie lato Chrzanowski i Rutkowski przychodzą z węgorzami.

— Ja też widziałem naczelnika. Prawie codziennie nosił. Rzecz jasna: legalnie ich nie łapał.

— Ciekawe, gdzie oni to wywołali?!

— A gdybyś nawet wiedział, to co z tego. Zrobiłbyś im coś? Rybacy z pegeeru rybnego nieraz łapali ich na wodzie, i też nie. Choćby brygadziści Kazimierz Kaliński przy świadkach widział sekretarza i jego kompanów. Do swoich rybackich zwierzchników napisali, podpisali się. Żaden tam anioł. Nikt nie zareagował.

Kazimierz Kaliński: To było dokładnie szóstego czerwca, koło osiemnastej godziny. Płynęli my w trzech: ja, Tolek Wierzbicki i Andrzej Jakuć. Trzecina jeszcze nie wyrosła dobrze, małeńka, widziało się wszystko. Wiosłem my płynęli, to nie słyszeli nas i zobaczyli też nie zobaczyli od razu. Ile my o nich byli, jak zaczęli wychodzić. Ze dwadzieścia metrów. Rutkowski na przedzie z rybami, czterech jeszcze za nim, kabel wyciągali. Od Maciejewskiego Piotra koło suszarni się podłączyli. Rutkowski zaraz do mnie z wódką podskoczył. „Gadałeś tyle, że już nie będziesz” — mówi. A on mi: „Ale! Wypijemy! Ty le jest ryb, że przez te parę w jeziorku nie ubędzie”. „Czort z twoją wódką. Już ja cię wymaluję”. Roześmiał się na to moje gadanie. „Mnie się tak podoba i ty mnie guzik zrobisz”. Z tych czterech, co byli za Rutkowskim, tylko Łozowski Bogdana, kierownika z Centrali Nasienniej z Grajewia, poznałem, bo i przodem stał, i samochód jego u Maciejewskiego na podwórzu my widzieli. Pozostałe odwrócili się, to głowy nie dam, ale znam jakieś z figury. Ja się nie boję z nazwiska. Co mnie oni mogą zrobić?! Zaraz po tym, jak to się stało, do Przedsiębiorstwa Rybackiego w Giżycku pisałem, co Rutkowski mówił, podał dokładnie, ale reakcji nie było żadnej. Tylko sekretarz zaraz milicjantów na mnie nasiał, że niby ryb chce od nas na lewo, a naprawdę po to, żeby był powód z roboty wywalić. Ale my nie sprzedali.

O tym, czym zajmują się notabile miasteczka, wiedzą w Rajgrodzie wszyscy. Krag podejranych zalicza znacznie szersze kręgi. Raz po raz redzi się nowa plotka, drobne wrzenie elektryzuje i podnieca małe miasteczkową społeczność. Zawsze jednak ucicha w końcu albo raczej przyczaja się, rozkładuje w rozgoryczeniu i poczuciu, że jak władza władza, nikt jeszcze swojemu złe nie zrobił, a pisanie do Generalnej Prokuratury, ministrów czy województwa choćby, to tylko marnowanie papieru. Kiedyś na budynku Komitetu Gminnego przyczepiono kartkę: „Sprzedaj ryb”. Teraz nikogo to już nie bawi, bo jak długo można pokłapać sobie z tego samego.

Stało się coś gorszego. Wielu poczuło się „rozgrzeszonych”. Nie działa tu przysłowie: „Co wolno wojewódzie...”. Wręcz przeciwnie. Jeżeli władze mogą, to dlaczego my mamy być gorsi? Dlaczego ma nie znieść rybaka chęć zarobku na bogatym turystyce, który za kilogram węgla płaci 650 złotych? Sprzedaję więc na pniu, zamiast wędzić do oddalonego magazynu. Cienią raczką do kieszeni i — do knajpy. Dla niektórych rolników kłusownictwo stało się dodatkowym, regularnym zajęciem. Świadczą o tym notatki służbowe honorowego strażnika wód:

„15.06.80 r., godz. 17.00

Trzech mężczyzn łowiło ryby kłom-
la. Gdy ujrzeli mnie, jak jechałem
łódką po rzece, wyszli na łódź i zbie-
gli. Wracając widziałem jak stoją
zastawione dwa żaki i sieć.

obyczaje



Młodzież Łętownicy (gmina Szumowo) uskarża się na brak w świetlicy GS-u gazet, gier, radia, telewizora i innych rozrywek. Zdrowie dla ich uszu i oczu byłaby zabawa w głuchy telefon, pomidora, ślepą babkę czy listonosza, ale w tym względzie poeta ma rację: zanadtośmy się rozdokazywali.



Sekretarz Urzędu Gminnego w Rutkach naubliżał petencie. Widocznie zrobił to solidnie, bo skarga na niego zawędrowała aż do Urzędu Wojewódzkiego. Wkrótce czupurnego sekretarza zdjęto ze stanowiska... aby przenieść na stołek wiceprezesa GS-u ds. handlowych. Grunt to wejść na orbitę; już potem żadna siła przyciągania ani odśrodkowa z niej nie wytrąci. A jużci.



Ciekawi jesteście, czy zlewniarz z Czarnejwsi (gmina Rajgród) wykopał swoje ziemniaki. Jeśli tego nie zrobił, to nie ze złej woli, bowiem zdarzało mu się czekać z mlekiem (jak np. 22.X. br.) na samochód dostawczy aż po siedem godzin! Potem już robotę miały tylko serowary.



Rolnikom wsi Kurkowo (gmina Grabowo) przywieziono i zrzucono na podwórza kartofle. Powiedziano im, że to sadzeniaki po 800 złotych za kwintal. Przerazeni podejrzaną ceną gospodarze (w punktach skupu ziemniaki kosztują 400 złotych) zamierzają trefny towar przeznaczyć na karmę dla zwierząt.

W ogóle wieś Kurkowo obfituje w przedziwne fakty. Młodzież cierpiąca tam na brak rozrywki (nie ma klubu, świetlicy ani nawet boiska) uradziła, że trzeba powołać samorząd wiejski, z którym liczyłby się naczelnik, bo na sołtysa nie zwraca uwagi. Może dlatego, że z sołtysowego zbiornika nieczystości płynnych przelewa się na ulicę, a naczelnik jest esfetą?



Młodzież województwa uskarża się na brak węgla dla klubów. Gdzie ten entuzjizm młodych pokoleń lat czterdziestych i pięćdziesiątych, kiedy to wszyscy w takich przypadkach nieśliby naręczał chrustu z lasu i śpiewali zgodnie: „Hej, bracie, dla gromady zbyt trudnych rzeczy nie ma”.



Sklep cukierniczy przy ul. Piotra Ściegiennego w Łomży — nie licząc ekspedientki — dosłownie świeci pustkami. I z czego tu żartować?



boi, a o tym, kiedy przyjechać ma zawodowy, każdy kłusownik wie już na kilka dni wcześniej.

W zeszłym roku milicja złapała Dziurdziuka z trzydziestoma siedmioma kilogramami węgorka i pięcioma kilometrami kabla. Prokurator przysądził 500 złotych grzywny i... zwrócenie przewodu właścicielowi. To znaczy — Dziurdziukowi. No, zrzucili go jeszcze z dozorcą na wczasach w Tamce, bo podkradał państwowy prąd.

Każdy łowi, czym może: żakami, podbierakami. Można mieć nawet niewód i agregat prądotwórczy. Jeżeli nie przyłapie się na ich używaniu, samo posiadanie jest rzeczą legalną. W końcu każdy ma prawo mieć jakieś hobby, kolekcjonować np. sprzęt rybacki i kłusowniczy. Niewiele w sumie ma własne stawy i jeziora, co uzasadniałoby posiadanie takiego sprzętu, wszyscy za to zaczęli traktować wody państwowe jako swoje własne. Brak skutecznych zakazów zachęca do przestępstw. Wprowadzenie ostrych sankcji chroniących lasy zmniejszyło wandalizm: niszczenie runa, drzew, zwierzyny. Natomiast rzeki, stawy i jeziora są jeszcze ciągle dobrem kłusowniczym, a więc terenem rabunkowym.

Funkcjonariusze posterunku MO w Rajgrodzie wiedzą o szerzącym się kłusownictwie. Są jednak bezsilni. Sąsiednia gmina, Kalinowo, ma dużo lepsze wyniki. W Rajgrodzie w tym roku była odnotowana tylko jedna sprawa: kradzieży przez trójkę wczasowiczów z Białegostoku, Warszawy i Moniek zawartości rybackich żaków. W trwającą jeszcze „afere” wmieszany był również ratownik. Poza tym — spokojnie.

Kierownik Zakładu Rybackiego w Rajgrodzie pracuje w tym fachu ponad 30 lat. Nie dziwi się, że kłusownictwo rozwinęło się tu na taką skalę. Wszystko mu sprzyja. Kodeks z 1932 roku nie został zniewielizowany. Zastosowano jedynie dziwny przelicznik kar — jeżeli przed wojną grzywna wynosiła 150 złotych, to dziś 450. Cóż to za relacja! Niedawno schwytano pod Augustowem gościa z dziewięćdziesięcioma kilogramami węgorka i ukarano go 1700-złotowym mandatem. Lekko licząc, kłusownik i tak zarobił na tym ponad 20 tysięcy. Oplaca się więc kraść. Skuteczne sankcje stosować może jedynie milicja i strażnicy zawodowi. Milicja jednak nie odnosi na tym polu sukcesów, a co do strażników — przedsiębiorstwo dysponuje zaledwie dwoma, mieszkającymi nad jeziorem Wigry. Co oni mogą zdziałać? W okresie międzywojennym gospodarstwo wielkości 3700 hektarów powierzchni wod-

Fot. GABOR LÖRINCZY

16.08.80 r., godz. 12.00

Widziałem na rzece przy boku zdechłego węgorka, oraz dalej zastawione dwa żaki.

18.08.80 r., godz. 13.00

Widziałem dwa żaki zastawione na rzece. Karpiński jadąc do mnie łódką był wściekle zdenerwowany, że potów był mnie obciążać kamień na szyję. Mówił, że inaczej nie nie wychodzi zrobić, gdy będę jego ciągle podawał na Komendę. Ja przyjąłem to tylko za żart. Ale mijając się ze mną patrzył na mnie już do końca ze straszonym uprzedzeniem.

20.08.80 r., godz. 17.00

Na rzece zastawiono 6 żaków, razem obok mnie i Karpińskiego.

21.08.80 r., godz. 16.00

7 żaków.

23.08.80 r., godz. 11.00

Tyle samo żaków. Nie zmieniane miejsce.

godz. 19.00

Leszczyński jeździł łódką motorową z drugim mężczyzną. Później przytulił i kłusował. Gdy zbliżałem się, włączyli motor i pomknęli. Będąc daleko nie przyjrzałem się im w oczy, to niby przypuszczam, że oni. Łódka szara, dno i nos żółte, motor niebieski pomalowany.

29.08.80 r.

3 młodzieńców łowiło ryby dwoma łódkami w gęstej trzcinie i trudno mi było tam dojechać łódką i poznać ich. Doliwa Edward z synami wybierali się z kłomką. Stały 5 żaków i jedna sieć.

Strażnik prawdopodobnie nie pije wszystkiego. Na Walnym Zgromadzeniu koła Polskiego Związku Wędkarskiego w Rajgrodzie 21.09.80 roku mówił, że na rzece Jegrzni zabijają prądem. Kto? Przyjeżdżają kłusownicy. A więc nie jego sąsiedzi. Kiedy zapytałem go o sekretarza czy naczelnika — milknął. Ręce drżały mu nerwowo. Boi się. Być może właśnie któregoś z nich widział na łódce Leszczyńskiego? Kto jednak zagwarantuje mu, że jeśli powie, nie straci prawa do dubeltówki, do podbierania ryb z kłusowniczych żaków? Lepiej więc milczeć, bo gadaniem i tak niczego się nie zmieni, a przyłapać na kłusowaniu to on sobie może. Owszem, postraszy, porozmawia, ale nawet żaków nie zabierze, nie mówiąc o ukaraniu. Po prostu nie wolno mu. Takie są przepisy. Złapanego na plecach do posterunku milicji też nie doniesie, a i wylegitymować nie wylegitymuje, bo tamten właśnie zapomniiał do wodu. Może sobie mówić, co chce, i tak żadne dane się nie sprawdzą. Honorowego strażnika nikt się nie



Wielu po- Nie dła- lno woje- nie. Jeżeli my mamy nie znieć bogalym am wgo- Sprzedate- że do od- raczką do Dla nie- ictwo sta- arnym za- tatki słuk- ka wód: jby kłom- jechałem- ad i zbie- jak stoją ec.

— Wypijmy. Podpisałem, Adam, deklarację lojalności. Nie tu, w więzieniu. Pod tym warunkiem mnie wypuścili. Tak czy tak mają mnie w ręku. Nie mogłem siedzieć w kryminale. To nie dla mnie Nikogo nie sypałem. Chciałem ratować niezależność partii.

— Przy pomocy policji?

— Państwo polskie jest państwem dla wszystkich. A KPP tak czy inaczej jest obcą agenturą. Ruch robotniczy może się bronić tylko w granicach państwa.

— Za zgodą władz?

— Mam pełne gwarancje samodzielnosci.

— Jeden warunek pociąga następny. Ogniwa są połączone. W tę i tamtą stronę.

— Twoim zdaniem: nie nie zależy od nas?

— Wszystko, lecz nie za cenę zdrady.

— A ja mogę się wypiąć i na ciebie i na zdradę.

— Wiesz, co cię czeka? Nie będziesz potrzebny nikomu: ani klasie robotniczej, ani sobie, ani nawet policji. Nikogo nie reprezentujesz. Jesteś za mądry, by tego nie zrozumieć. Podajemy ci rękę. Jutro będzie za późno.

— Dobrze, oddam ci klucze do lokalu, drukarni i pieczęć. Oto one. Ale pamiętaj, prowokiem nie byłem i nie jestem. Miałem swoje cele. Skończyłem. Spróbowałem się od was odciąć. Szantażowaliście prowokację, tu, tu, na gardle, mam łapy nie tylko policji, lecz i wasze. Moja z twoją na głowę umowa niczego nie zmieni. Będą mnie dalej szantażować. Z tej i tamtej strony. Wyjdź! Precz mi z oczu! Sięszysz!

Targowiak sięgnął po klucze i odwrócił się. Szedł przez pusty korytarz coraz szybciej. Był już koło schodów, gdy dobiegł go odgłos wystrzału, potem drugiego. Nie mógł się mylić.

Za rogiem skreślił i udał się na dworzec. Przez sekundę wahał się, dokąd kupić bilet. Wsiadł w pociąg do Łodzi i dopiero wtedy pojął, co się stało.

Był późny wieczór, gdy Adam znalazł się w Łodzi Fabrycznej. Nie był bezpiecznie iść do hotelu. Przy-

WŁODZIMIERZ SOKORSKI

ZOSTAĆ SOBĄ

pomnił sobie adres przyjazdówki dla kurierów. Franciszek Głowacki, tkacz z Schajblera, mieszkał aż na Bałutach. Adam czuł się fatalnie. Miał objawy grypy i gorączkę. Zatraskany Głowacki przyjął go serdecznie; dał aspirynę oraz szklankę wódki z pieprzem i czosnkiem. Adam opowiedział rozmowę z Krupą. Wyjął klucze, pieczęć i zostawił na przechowanie. Nazajutrz chciał się spotkać z Polką.

Kiedy się obudził, Franek Polka siedział koło łóżka. Polka podała mu gazetę z notatką o samobójstwie Krupy. Zastrzelił się w Związku.

— Nie sądziłem, że sprawa w ten sposób zostanie zamknięta. Tak czy inaczej insygnia partii są w naszym ręku. Dzwoniłem do Spalka. Twierdził, że w Krakowie cicho i nie depczą po piętach. Nie rozpytywano się również o ciebie.

— W każdym razie z drukarnią nieco poczekać. Tymczasem wyzdrowieję.

Przeleżał trzy dni. Spalek dał znać, że lokal Związku Chemicznego, gdzie urzędował Krupa, opieczetowano. Zarząd PPS-Lewicy mimo to bez trudu okupował drukarnię. Dąbrowska dzwoniła, że czekają na niego w Warszawie. Przed wyjazdem nawiał przez łączniczkę kontakt z KPP. Nie czuł się najlepiej i przysłała po niego Rachela zabrała go do rożka do siebie, gdzie miał wpaść towarzysz Władek. Wieczorem Rachela oznajmiła, że Władek wpadnie dopiero jutro, więc Adam pozostanie u niej na noc.

Była to miła i dobra dziewczyna. Przyniosła aspirynę i gorącą herbatę. Zapewniała, że jej mieszkanie jest poza obserwacją policji. Ona sama pracuje w partii niedawno i lokal jest używany do „czystych” spraw. Adam był posłuszny, lykał proszki, opowiadał o swoich przeżyciach. Rachela przyglądała się mu troskliwie.

— Wrócisz do domu i zaopiekuję się tobą żona.

— Nie mam żony.

— No to dziewczyna.

— Nie mam dziewczyny.

— No to powiedz mi coś o sobie.

— Nic o sobie nie mogę powiedzieć, w co byś uwierzyła.

Poczuł jej ręce na swojej dłoni, uścisk palców.

— Nie widzę twoich oczu — szepnął — ukrywasz je przede mną.

— Moje oczy są fałszywe. Tylko pies ma szczere oczy.

Przyciągnął ją do siebie.

— Zostaw.

— Mam dreszcze, jest mi zimno. Ręce twoje są gorące, ogrzeją mnie.

— Nie męcz mnie.

— Placzesz? Lzy twoje... Dlaczego? Powiedz. Połóż się. Teraz mogę ci objąć. Jesteś bardzo dobra. Tylko dziewczyny bywają tak dobre. Nie broń się.

Obudził się wcześniej. Rachela podała śniadanie.

— Dlaczego tak na mnie patrzysz? Musisz coś zjeść. Zaraz pojedziemy na podpunkt z sekretarzem. Zostaniesz u mnie. Mówiłam z matką. Jesteś nadal chory.

— Muszę jechać do Warszawy.

— Pojedziesz, ale nie teraz.

Przez czas pobytu u Racheli ani razu już do niego nie przyszła.

15

ROZDZIAŁ

Zbliżała się zima. Twierdza brzeska, w której osadzono postów Centrolewu, budziła niepokój. Mnożyły się protesty polityków i pisarzy, lecz represje nie ustawały. Stawało się coraz bardziej oczywiste, że Kongres PPS-Lewicy będzie miał podobne reperkusje. Postanowiono działać w dwóch płaszczyznach. Część aktywów zostawić na miejscu, z poleceniem (w razie potrzeby) przejścia do podziemia, część wysłać na lutowy zjazd do Łodzi. Adam Targowiak jako sekretarz musiał wyjechać i kierować przebiegiem Kongresu. Wiedział, że będzie aresztowany, ale nie myślał o tym. Trzeba było ciągle użerać się z cenzurą przy wydawaniu „Robotnicza” stale interweniować w sprawie rozpędzania zebrań PPS-Lewicy oraz solidar-

nie występować w obronie aresztowanych i osadzonych w twierdzy brzeskiej.

Niezależnie od dorywczych kontaktów z Jolką coraz częściej prześadywał u Cechy. Dreczyła go samotność, zwłaszcza wieczorami. Starał się nie angażować jej w czynną pracę, natomiast chętnie korzystał z jej rad.

Nie usiłował Cześci uwodzić. Nigdy nie wracali do wymiany zdań na Chłodnej. Czasami przychodziła Dąbrowska, raz nawet wpadła Zocha. Wyszła za mąż, spodziewała się dziecka, wydawała się zadowolona.

— Zastanawiałam się, czy nie zostać twoją żoną — stwierdziła któregoś dnia Cześć — ale Jolka?

— Odejdzie.

— Mówisz to tak spokojnie?

— Ona jest kumpel. Mądry kumpel. Nie potrafi być żoną.

— A ty potrafisz być mężem?

— Pytasz serio?

— Tak.

— Ja? Nie. Mogę u ciebie zostać.

— Na noc?

— Tak.

— A jutro?

— Również.

— Musimy mieć ślub.

— Jak? W jaki sposób?

— Normalnie. U księdza.

— Zwariowałaś? Komuniści?

— Nie ma w Polsce innych ślubów. Trzeba znaleźć księdza, który da nam ślub bez żadnych ceremonii.

Opowiadała mi o księdzu kanoniku, bracie twojego ojca. Jedź do niego.

— To wszystko jest bez sensu, Cechu.

— Bez ślubu nie wpuszczą mnie na widzenie z tobą do prokuratury ani do więzienia. Ponadto moja matka tego nie przeżyje. Robotnicy mają swoją moralność, ty jej nie znasz.

— A dzisiaj?

— Dzisiaj zostaniesz u mnie. Będziemy po słowie.

— Potrafisz mnie kochać?

— Nie wiem. Zobaczymy.

Nazajutrz pojechał do księdza kanonika w Nasielsku. Dworzec kolejowy był cztery kilometry za miastem. Plebania leżała nieco na uboczu, w dużym parku, zwarzonym prze jesień, prawie zimą, mimo ostatnich dni listopada. Kanonik Alojzy przyjął go serdecznie, nie bez pewnego zdziwienia. Zaprosił do gabinetu i poczęstował winem. Gospośa podała śniadanie: białe bułeczki z polewą i kawę.

Adam wyznał cel swojej wizyty. Zaznaczył, że chodzi mu o dyskrecję. Tylko jego ojciec i matka narzeczonej przyjadą na ślub. Uroczystość miała się odbyć zaraz po zapowiedziach, bez zbędnych ceremonii kościelnych.

lektura z pierwszej ręki



Dyżur w pogotowiu rozpocząłem o ósmej rano. Przed obiadem badałem chorych w oddziale i trzy razy wyjeżdżałem na wezwania. Wieczorem pojechaliśmy do wypadku drogowego. Motor leżał w rowie, obok zamroczony, porożbijany chłopak ze wstrząsem mózgu i złamaną nogą. Zawieźliśmy go na ortopedyczno-urazowy. „R”-ka akurat podjechała do szpitala w Grajewie, by chorego przetransportować do Białegostoku: razem około 130 kilometrów plus powrót do Łomży; jakby Białystok nie mógł bezpośrednio tego załatwić. Podobno jednak nie może, musi być nasza „R”-ka, bo ją mamy. Madre przepisy, świetna organizacja!

W Kuziach bolał babcię prawy bark i „darło” całą rękę. Pogoda fatalna, a ona już od lat jak barometr odczuwa jej zmiany. Często mas tam wzywają; brakuje im na stałe lekarza w ośrodku zdrowia. A wiadomo — jak jest dobry lekarz na miejscu to karetka prawie się nie wzywa. Jednak zwróciłem uwagę synowi chorej, że niepotrzebnie nas wzywał, bo przecież nazajutrz będzie u nich lekarz ze Zbójnej. Na to chłop rzucił mi z gestem na stół 20 złotych mówiąc, że płaci i wy maga. A w ogóle, to najlepiej by było mamuszkę do szpitala, bo nikt nie ma czasu się nią opiekować, do niego — wykopki. Wytłumaczyłem, że jeden mały szpital to nie dom opieki. Nawet zrozumieli i nie kłócili się. Nawiasem mówiąc, w całym Łomżyńskim nie ma tak pozbitego szpitala dla przewlekłych chorych, a np. Ostrołęckie dysponuje prawie tysiącem łóżek.

W nocy po raz trzeci wyjechałszy śmierzdząc od spalin, rozklekotaną nysą. Z dziurawej podłogi i z niedomykających się drzwi wiało przenikliwym chłodem. Ze też takie samochody dopuszcza się do jazdy! Ale podobno z transportem sanitarnym w całym kraju jest nie najlepiej. A Wojewódzka Kolumna Transportu Sanitarnego w Łomży w ogóle nie posiada bazy i z całą swoją dyrekcją siedzi gościnnie w szpitalu.

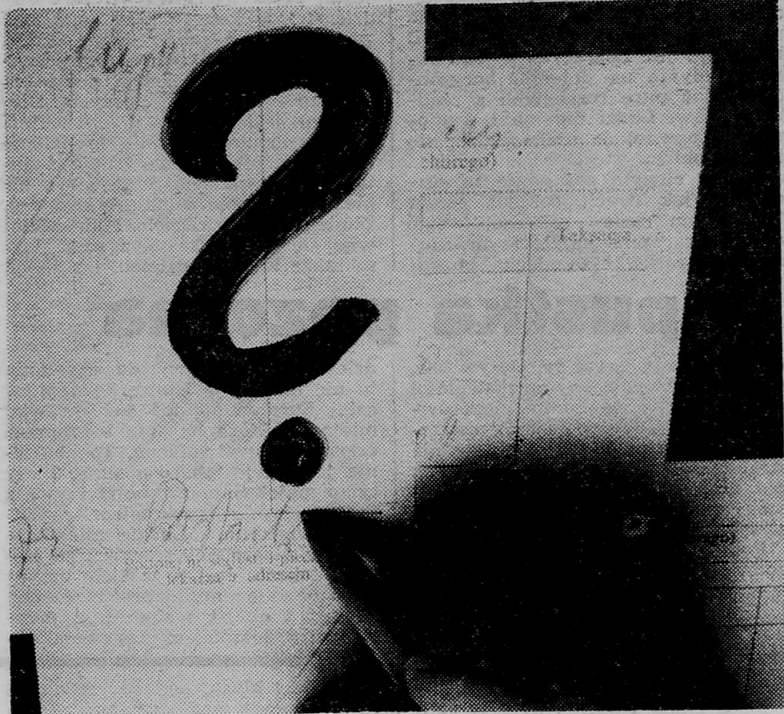
Całe szczęście, że jechaliśmy tylko na sąsiednią ulicę — wszystkiego 300 metrów. Godzina piąta. Wdrapaliśmy się na trzecie piętro,

Strażnik więzienny — człowiek bezwzględny. Ten, który przesłania innym „wolność za mgłą”. Jak wynika z akt łomżyńskiego więzienia nie wszyscy byli bezwzględni. Biali się. I mieli czego.

Od roku 1909 nasiliły się ucieczki więźniów. Odnotowano przypadki zabójstw strażników, przy użyciu odebranej im broni. 29 listopada 1912 roku gubernatorzy i naczelnicy otrzymali tajne pismo, w którym szef Głównego Zarządu Więziennictwa Ministerstwa Sprawiedliwości instruuje: „Z informacji, które napływają do Głównego Zarządu Więziennictwa wynika, że nasiliły się przypadki napadania więźniów na strażników, przechwytywania broni, zabójstw niższego personelu więzienia. Nie podejmuje się kroków, poza nielicznymi wyjątkami, a w związku z tym personel pozostawia bez należytych instrukcji i wskazówek ze strony kierownictwa wykazuje wyjątkową nierozwagę i nie zachowuje należytego bezpieczeństwa.

Z przeglądu informacji dotyczącej wypadków zaistniałych w ostatnim czasie, a także danych wynikających z kontroli Głównego Zarządu można wyciągnąć wniosek, że do głównych przyczyn takich napadów należą 1. sposób wyjścia więźniów w celach sanitarnych, gdy w korytarzu jest tylko jeden strażnik, 2. wchodzenie strażników do cel z bronią, 3. zezwolenie przechodzenia więźniów do różnych pomieszczeń w związku z czym stwarza się możliwość niespodziewanego dla strażników pojawienia się więźnia i dokonanie napadu z tyłu lub zza węgla, 4. brak u strażników nawyków strzeleckich, nieuwagi przy ładowaniu, rozładowywania i strzelania z pistoletu, 5. noszenie w kaburach za biodrem, co ułatwia więźniowi napad i zdobycie rewolweru, 6. obsadzanie stanowisk strażnikami, którzy nie posiadają odpowiednich walorów wrodzonych i predyspozycji psychicznych do służby więziennej.

W odpowiedzi naczelnik więzienia w Łomży przesłał 18 lutego 1913 roku raport, w którym informował gu-



dyżur

zadzwoniliśmy. Drzwi otworzył młody człowiek w piżamie. Zaprosił nas do pokoju; na stole kieliszki i resztki z kolacji. Kiedy powiedział, że boli go gardło, aż mną zatrzęsło: „To nie mógł się pan zgłosić do Pogotowia, zamiast wzywać karetkę?” W odpowiedzi usłyszeliśmy, że nie będzie laził po nocy, a Pogotowie jest od tego, żeby jeździło. Zająrzalem w gardło, poczułem wodę i papierochy; ani śladu anginy, może nieco tylko kataru. Wypisałem receptę i zostawiłem dwie polopiryny z podręcznej apteczki. Gdy zabierałem się do odejścia, zapytał ostrym, nieprzyjemnym tonem: „A gdzie zwolnienie?” „Nie widzę żadnej potrzeby” — odpowiadałem. „Gdyby pan rano gorączkował, proszę się zwrócić do swego lekarza zakładowego”. Wychodząc usłyszałem, że

cała służba zdrowia nie jest warta, i trzeba będzie znowu napisać na nią do Komitetu lub gazety. Drzwi trzasnęły za nami. Idąc po schodach myślałem, że może trzeba było mu dać na odczepnego to zwolnienie, bo jeśli drań rzeczywiście napisze, to będę musiał udzielać wyjaśnień na piśmie. Z tego wszystkiego zapomniałem pobrać od niego 20-złotowej opłaty.

Te opłaty, które musimy pobierać, gdy nie przewożymy chorego do szpitala, są dla nas, lekarzy, upokarzające. Jednak dyrektor i księgowa wymagają tego, ponieważ są z nich rozliczani przez kontrolę z Wydziału Zdrowia. Jaki to ma sens? Niechby przynajmniej w części zwracały koszt benzyny. Prywatnie dyrekcja z tym się zgadza, ale oficjalnie rozkłada ręce — i wymaga.

DZIEJE ŁOMŻYŃSKIEGO WIĘZIENIA

bernatora, że: „W powierzonym mi więzieniu strażnicy i inne osoby znajdujące się na służbie noszą kabury rewolwerowe z przodu... przy czym obsada rewolweru zwrócona jest do sprzączki pasa. Strażnicy bezpośrednio kontaktujący się z więźniami w warsztatach nie noszą broni. Inni, pełniący służbę w trzech rogach sali broni mają.

Polecenie Zarządu Głównego, by strażnicy na korytarzach byli bez broni, a poza kratami korytarzy ogólnych ubezpieczali ich funkcjonariusze z rewolwerami — nie może być od razu wykonane. Wymagałoby to bowiem zwiększenie liczby zatrudnionych strażników o sześciu, 35 zatrudnionych — pisano — to stanowiło za mało.

Zabezpieczenie cel w łomżyńskim więzieniu jest dobre. Klucze od wciąż zamkniętych cel mają strażnicy, któ-

starannie. Wybiera się mężczyzn silniejszych i wyższych”.

Raport raportem. W niespełna rok, bo 12 października 1913 roku Główny Zarząd Więziennictwa wycofał się z części uprzednio sformułowanych założeń.

„Podczas napadów nieuzbrojeni strażnicy stają się ofiarami więźniów uzbrojonych w przedmioty pochodzące z warsztatów więziennych lub inne przedmioty więziennego użytku... Uważam za niemożliwe wykonanie poprzednich ustaleń i proszę polecić by strażnicy na służbie byli uzbrojeni w przysługującą im broń”.

Jesienią 1913 roku zwołano z armii cesarskiej kolejny rocznik poborowych. Wielu z nich składało oferty z prośbą o przyjęcie do pracy w nadzorze więziennym. W takich wypadkach naczelnik więzienia pisał

te strachliwe klawisze

rzy wypuszczają więźniów tylko w przypadkach koniecznych. Wieczorem od godziny 18-tej więźniów nie wypuszcza się z sal. Po nocnej kontroli o godzinie 23.00 strażnicy oddają klucze naczelnikowi więzienia, a ten wydaje powtórnie o 6 rano. W czasie porządków porannych i wieczornych na trzech ogólnych oddziałach męskich do pomocy każdemu strażnikowi przydziela się uzbrojonego strażnika, który stojąc za kratą obserwuje więźniów. Zwłaszcza tych udających się do klozetu, wypuszczanych kolejno, celami po 8 do 14 osób. Więźniom nie zezwala się na wychodzenie do innych cel.

Ponadto strażnicy co roku odbywają naukę strzelania. Aktualnie w łomżyńskim więzieniu znajduje się na stanie 21 rewolwerów marki Schmidta i Westona. Należałoby tę broń wymienić na nowsze — marki Browning. Strażników dobiera się

na odpowiednim druczku nazwisko kandydata i słał do dowódcy jednostki zapytanie: „Proszę Waszą Wysokość o przysłanie mi wyciągu z dziennika kar, dotyczącego — takiego i takiego — a jednocześnie o poinformowanie, czy nie ma on skłonności do napojów spirytusowych”.

Po dwóch latach więziennych służby strażnicy mogli ubiegać się o przyjęcie do szkoły przygotowującej kandydatów na stanowiska starszego nadzorcę. Stał pracą był zresztą jedynym warunkiem wymagany przy rekrutacji. Ustawą z dnia 13 lipca 1913 roku, zatwierdzoną przez Radę Państwa i Dumę Państwową utworzono szkoły nadzorców — dla mężczyzn i dla kobiet, na czas od 1 września 1913 r. do 31 grudnia 1915. Jest to co prawda niewielki, ale ciekawy dokument.

Nauka w szkole męskiej trwała 4 miesiące, w żeńskiej 6 mie-

Wielokrotnie się zastanawiam, po jakie licho jeżdżę w tym Pogotowiu. Przecież nikt mnie do tego nie może zmusić. Wprawdzie przy swojej wysokiej grupie zarobię tutaj miesięcznie dwa-trzy tysiące, ale robię to kosztem zdrowia. Nie przesypiam średnio pięciu nocy w tygodniu oraz ograbiam żonę i dzieci z życia rodzinnego. Większość z nas jednak jeździ, ktoś w końcu musi. A poza tym jest jakaś satysfakcja z fachowo i na czas udzielonej pomocy. Zastanawiam się tylko, dlaczego karetka Pogotowia zamieniona została w ambulatorium na kółkach? Dlaczego do banalnych zachorowań wzywa się trzyosobowy zespół? Ani w tym rachunku ekonomicznego, ani potrzeby społecznej. A do tego ciągle straszy się nas pisanie, zaskarżaniem i rozliczaniem? Czy zawód lekarza utracił już swój autorytet społeczny a jego prestiż upadł tak nisko? Jeśli tak, to co jest tego przyczyną?

Wymaga się od nas czasu dla każdego, uprzejmości i uśmiechu. A czy ktoś ujął nam biurokratycznej pracy, abyśmy mogli więcej czasu poświęcać pacjentom, którzy często bardziej potrzebują serca niż cudownych lekarstw? Niewiele jest wśród nas Judymów, ale też wcale niemało ludzi dobrze znających zawód i chcących mieć satysfakcję z wykonywanej pracy. Nie jest to łatwe przy tak małej ilości lekarzy w województwie.

Jeden ze starszych lekarzy łomżyńskich opowiedział mi, że kiedyś było ich pięciu w całej Łomży i mogli obsłużyć wszystkich potrzebujących. Wierzę mu. Ale dziś system pracy służby zdrowia zmienił się diametralnie. Zniknął lekarz-konsyliar, a pojawił się pracownik; o terapii chorego decyduje wielokrotnie zespół ludzi, w którym swoje miejsce ma i lekarz, pielęgniarka i analityk. Zespół ten musi mieć gdzie i czym pracować. Niestety, nowy szpital wybuduje się za 6—8 lat; przez ten czas i ludności przybędzie, i wymogi wzrosną. Tzw. pawilony (baraki) cieknie i nie stanowią najlepszej wizytówki łomżyńskiej służby zdrowia. Sama zmiana sztytu na frontonie szpitala z powiatowego na wojewódzki sugeruje nam grę w pozory. A leczenie ludzi do gier bynajmniej nie należy.

JOZEF DOWNAR

sięcy. Kierowani na naukę otrzymywali zwrot kosztów podróży kolejną w wagonach trzeciej klasy i diety w czasie podróży po 30 kopiejek na dobę. Sama nauka była bezpłatna. Po zakończeniu szkoły nadzorca dostawał świadectwo i korzystał z prawa pierwszeństwa w obsadzeniu stanowisk starszych nadzorców.

Jak długo funkcjonowały szkoły w rzeczywistości — nie wiadomo. Środki finansowe z puli państwowej zaplanowano bowiem od roku 1914, a w roku 1915 więzienie ewakuowano. Były to środki niemałe. Uposażenie naczelnika wynosiło rocznie 1200 rubli — 600 pensji i 600 rubli wyposażenia, ponadto mieszkanie w budynku szkolnym. Płace nauczycieli wyniosły miały 1600 rubli w szkole męskiej. Na wydatki kancelaryjne i pomoce naukowe w tej placówce przyznano 600 rubli. Miej płacono nauczycielom szkoły żeńskiej — 900 rubli, choć pracowali oni z dwoma oddziałami po 25 kobiet. Trudno dociec natomiast, co w szkole żeńskiej kryło się za pozycją „pomoce naukowe dla uczniów”, na które przeznaczono aż 2250 rubli.

Były to duże sumy, zwłaszcza jeśli zważyć oszczędności, jakich wymagały władze. Próbowano je więc oszczędzać w inny sposób np. poprzez obniżenie cen zakupu produktów rolnych dla więźniów od okolicznych mieszkańców. Nie zawsze się to udawało. 6 lipca 1913 roku J. Wierzbicki z Boguszyca Starych przysłał do naczelnika list: „Wielce Szanowny Panie Naczelniku! Mam zaszczyt zakomunikować Szanownemu Panu, że z powodu, iż Zarząd Więziennictwa obniżył cenę mleka na kwotę do 5 i pół kopiejki — od dzisiaj mleko dla więźniów dostarczać nie będę. Z wysokim szacunkiem J. Wierzbicki”. Chyba jednak mleka nie przestał wozić, bo 18 lipca naczelnik dokonał na liście adnotacji: Od 18 lipca wyrażam zgodę na zapłatę za kwartę mleka dostarczanego więźniowi 6 kopiejek przez cały rok”.

TERESA POLECKA
MIKOŁAJ JEDNACZ



GENIUS LOCI

Mrówka poza mrowiskiem, bez stałej obecności innych mrówek, nie żyje długo. Ginie, mimo iż na oko nic specjalnego jej nie dolegało. Ale bo też mrówka, pszczoła, czy termit nie są „bytami kompletnymi” ale nieomal częścią większego organizmu. W istocie jest coś z tego i w nas samych, tyle, że w bardziej okrzepły, trudniejszy do stwierdzenia sposób. Obecność innych osób, zawsze konieczna, ma na ogół formy pośrednie, a my sami też wcale nie najlepiej czujemy się pośród wielotysięcznego tłumu. Mieszkaniec miasta musi jednak ów tłum odczuwać tuż za ścianami swojego domu, ponieważ przywykł już do przestrzeni ściśnionej, skąpej, bylejakiej. Z „dziewiczą” naturą i tak nikt nie ma już do czynienia, bo gdzież jej szukać? Może na północnej Syberii, może na Antarktydzie, może w puszczach Amazonii. W lesie nie ma się poczucia samotności; w każdej chwili ktoś się może wyłonić zza pierwszego lepszego drzewa. Są jednak chwile szczególne. Byłem w lesie nad jeziorem Łukajno — jest to, położony niezbyt daleko od Mikołajek, rezerwat ła-

będzi. Trudno się tam dostać — jezioro otaczają szerokim pierścieniem bagna i łąki, przez które nie prowadzi właściwie żadne ścieżki; kiedy się już pograżyło w ten obszar, jedynie na dalekim horyzoncie widać parę rozszaniach z rzadką domów. Ludzi nie ma i wiadomo na pewno, że nie znajdzie się ich w pobliżu.

Wtedy chwytą coś nagle za serce. Coś jak strach, coś jak groza. W każdym razie coś osobliwego, co jest zarazem najgłębszym zdumieniem mrówki znielaczka pozba-

pustka pozorna

wionej swojej gromady. Oczywiście, rolnik przyzwyczajony do rozległości pól przeżyłby to samo nieporównanie słabiej. Jego pojęcie przestrzeni jeszcze nie skarłate, jeszcze nie stracił świeżości zmysłów, których nie atakuje przez cały czas zgłoszony szum miasta. Jeszcze nie musi wszystkiego odzyskiwać.

Podobne uczucie miałem kilka tygodni temu jadąc do Kombinatoru Łukarskiego Grady Wonięckiego, gościnnej domeny Stanisława Kutylowskiego. Wąska szosa biegnie tu

poprzez bezmiar łąk, zalanych miejscami przez wody Narwi; tu i ówdzie sterczą kępy wikliny, nad tym wszystkim zaś kołują dzikie kaczkę i inne błotno-łakowo-wodne ptactwo. Jedzie się i jedzie przez ten bezmiar zielonej, przyszarzałej mgłami jesiennymi przestrzeni. I tu też opanowało mnie to dziwne uczucie przekroczenia granic świata cywilizowanego, znalezienia się niemal w pustce wielkiego kosmosu. Złudzenie, oczywiście. Pod kołami wije się gładka szosa, a same łąki są także ludzkim dziełem i z żadną

dziewiczością natury do czynienia tu nie mamy. W istocie bowiem, w całej Europie nie ma już skrawka miejsca, które by nie było przez człowieka przetworzone. To złudzenie jednak jest bardzo silne. I czy tylko moje? Sam kombinat zrywa z tradycyjnym rozproszeniem, rozsiadaniem wiejskim. Ludzie mieszkają tutaj w słożonych, niewielkich zresztą blokach. Jest to o wiele bliższe i pewnie mniej praktyczne od wiejskich obejść i zagrod; a przecież najwidoczniej bardzo mieszka-

com tego miejsca potrzebne. W obliczu pustki natury ludzie skupiają się, włączają sobie niemal na głowy, chcą czuć wzajemne ciepło. Estetyczny efekt jest nieszczerólny, psychologicznie jednak sprawa jest uzasadniona. Tak zresztą planowano wszystkie „agromiasta”. Kiedyś zastanowiła mnie reforma życia wiejskiego wprowadzona przez Fidelę Castro na Kubie — polegała na tym, że połączono rozproszone dotąd domy w jedną centralną całość. Nazywano się to „nauką życia społecznego” i wywoływało we mnie uczucia bardzo mieszane. Ale, jak się zdaje, po prostu sami zainteresowani też nie protestowali przeciw temu. Widocznie taki etap skupienia jest konieczny. Dopiero potem przychodzić może na ponowne odosobnienie, które staje się w ten sposób luksusem. Jest to już jednak etap nadmiernej koncentracji i obecności, etap radia, telewizora, samochodu, telefonu — wszystkiego, co sprawia, że kontakt z innymi można nawiązać w przeciągu paru sekund. Etap pustki pozornej i o-swojonej, zmił pozbawionej jadu „postu” takiego jak wigilijna wierzba mrowiska niewidzialnego.

PIOTR KUNCIEWICZ

ZANIM SIĘ SKOŃCZY XX WIEK

Dyskutujemy nad systemem sprawiedliwego racjonowania mięsa, cieszymy się, gdy zdobędziemy torebkę cukru, który co prawda bywa w sklepach spożywczych, ale nie wiadomo w których i kiedy, cierpliwie stoimy w kolejce do straganu z najwyczyniejzszymi ziemniakami. I jesteśmy święcie przekonani, że te perturbacje rynkowe są czymś nadzwyczajnym, zgola bezprecedensowym w normalnej, niewojennej ekonomice. Oczywiście, mamy rację, bo zakłócenia tego typu daleko odbiegają od normy gospodarczej rozwiniętego kraju środkowo-europejskiego w przedostatniej dekadzie XX wieku. Spróbujmy mimo to pohamować wzburzenie i zdobyć się na refleksję sięgającą wstecz o kilka i więcej pokoleń. Zachęcam do niej, bo przecież przypomnienie przeszłości znakomicie pomaga w lepszym rozumieniu teraźniejszości.

W przedwojennych jeszcze czasach, podczas wakacyjnej wycieczki rowerowej zostałem w wiejskiej chacie poczęstowany oryginalną potrawą o nazwie „prażucha”. Był to bardzo gęsty, szlony kłajster z przyrumienionej na jasnobrazowy kolor maki, polany stopioną słoninką ze skwarkami. Jadło się ten kłajster odkrawając zeń łyżką kęsy wielkości kluski kładzionej. Smakował nadzwyczajnie — jednakże należy wziąć pod uwagę, że przepędowanie kilku godzin znakomicie zaostrza apetyt, a egzotyczny charakter potrawy wystarczy za przypa-

wę. Podejrzewam, że dla kogoś, kto prażuchę jadł częściej, były to delikcie.

Wtedy nie wiedziałem prawie nic o tym kłajsterze. Dopiero wiele lat później uświadomiłem sobie, że podczas jadłem najpierwotniejszą bodaj potrawę pochodzenia rolniczego. Że prażucha ma za sobą historię liczącą kilkanaście tysięcy lat. Że sporządzano ją z dziko rosnących traw — poprzedniczek dzisiejszych zbóż — rozcierając ziarna między dwoma kamieniami i podgrzewając uzyskaną z nich breję na ognisku. Nigdy już więcej nie natrafiłem na tę potrawę, a tylko starsi ludzie, gdy

tu kasze i kluski) składa się z potraw będących podstawą pożywienia biedaków, lecz ludzi dobrze sytuowanych, a więc potraw pożądanym jako lepsze od pieczonej rzepy, kapusty, marchwi, lub wręcz zielska, jak np. lebiody — którymi głównie żywił się biedacy. Pożądanych jako potrawy smaczniejsze i bardziej energo-dajne: dziś powiedzielibyśmy „kaloryczne”.

Teraz kaloryczny jest dla nas raczej cukier niż chleb. Chleb w postaci tostu, kanapki, sandwiche, traktujemy raczej jako uzupełnienie niż podstawę pożywienia. I, skoro za lepsze, pożądaną, charakterystyczne

rzeczywał przede wszystkim pierwotną produktywność swego środowiska, zaś w cywilizacji przemysłowej przesuwa akcent na wykorzystywanie produktywności wtórnej. Różnicę tę zresztą obserwujemy nie tylko w historii, ale i w geografii — jest to różnica między krajami rozwiniętymi a rozwijającymi się.

Spójrzmy więc na obecne trudności rynkowe z tego punktu widzenia. Błędy polityki gospodarczej oraz niesprzyjające warunki pogodowe w kilku ostatnich latach (zwłaszcza zaś w bieżącym roku) zmuszają nas do pewnego cofnięcia akcentu, do na-stawienia polityki aprowizacyjnej na wykorzystywanie w większym niż dotychczas stopniu pierwotnej produktywności naszych pól. Mówiąc najprościej nie zabraknie nam ani kartofli na puree czy placki ziemniaczane, ani zboża na makę. Brak nam natomiast kartofli i zboża na paszę. Bedziemy więc mieli pod dostatkiem chleba oraz klusek i ziemniaków na talerzu. Kiepsko natomiast będzie z mięsem — i to nie tylko w obecnym roku, gdyż przystało ono wolniej, niż ziarno, korzeń czy kłab.

Rzecz w tym, że zdążyliśmy już zapomnieć o czasach gdy przejawem dobrobytu było odżywianie się produktami zbożowymi. Warto więc przypomnieć sobie te czasy i charakterystyczne dla nich potrawy. Nie, nie namawiam nikogo do prażuchy. Ale łazanki ze słoninką (które, mówiąc nawiasem, porzucił dla zdecydowanie mniej smacznych makaronów rodem z fabryki) wydadzą mi się godne uwagi.

ZBIGNIEW SIEDLECKI

polecam łazanki ze słoniną

o nią rozpytywałem, przypominali sobie, że niegdyś jadano prażuchę.

Tak, prażucha jest starsza niż ciemiutka, miękki praśny placek, którego, gdy mi się zdarzyło być na kurdyjskim przyjęciu, używałem jako talerzyka. A także niż wypiekany w glinianym piecu o kształcie dzwona bliskowschodni chlebek przypominający nasze podplomyki, zwany w językach tureckich „czurek”, i niż środkowoeuropejskie wyborne „lepioski”. Nie mówiąc już o naszym, jakże krótkim rodowodem się legitymującym, chlebie.

Warto sobie uświadomić, że ów historyczny ciąg od prażuchy po chleb na kwasie czy drożdżach, (ciąg obejmujący również niewymienione

dla dobrobytu uważamy potrawę mięsne, z wolna przestajemy rozumieć prawdziwy sens określeń „chleb powszedni”, „chleb dobrze zasłużony”, „na laskawym chlebie” i tysiące innych z chlebem związanych powiedzeń, porzekadeł, przysłów. Ba, nawet „chlebowadawcę” zastąpił „pracodawcą”...

Dylemat prymatu chleba czy mięsa rozpatruje biologia w kategoriach produktywności pierwotnej i produktywności wtórnej. Ta pierwsza dotyczy, upraszczając produkcję biomasy roślinnej na danym obszarze, ta druga zaś produkcję mięsa będącego przetworzoną biomasa. W okresach poprzedzających cywilizację przemysłową człowiek wyko-

refleksje



Reporter odwiedził Bohdana Czeszkę w jego leśnym ustroniu na Mazurach. Tekst jest montażem wypowiedzi pisarza.

— Potworna jest dla mnie konieczność odbywania spotkań z młodzieżą. Ja im truję o czasach, o których gdzieś coś wyczytałem w podręczniku, a oni muszą mnie słuchać, bo wiadomo, że jestem godnym człowiekiem, były partyzant, który walczył jak lew o Polskę. Do tego jeszcze nauczyciel powiedział: musicie być cicho i słuchać tego pana, bo to poważny i zastraszony człowiek. To jest potworne! Unikam tego, jak tylko mogę. Kiedy już nieodwołalnie muszę uczestniczyć w takim zwanym spotkaniu z młodzieżą — czuję się zupełnie tak, jakbym uczestniczył w powstaniu w 1863 roku. Ja tego nie chcę. Chcę przeżyć swoje życie do końca jak normalny człowiek. To nie jest fałszywa skromność. Po prostu autentycznie nie lubię nawracać do przeszłości i czerpać z tego, że w końcu robiłem rzeczy bardzo zwyczajne i proste. Komendant to nie jest mój zawód.

Tu, w warsztacie, spędzam cały właściwie poranek do obiadu, chyba że mnie wygoni konieczność załatwienia czegoś w mieście, na przykład: gdy muszę pojechać do sklepu. Bywa, że trzeba coś w ogrodzie zrobić. Na ogół niewiasty się tym zajmują, ale są takie prace, których one wykonać nie mogą. Cholera, te wilki! W tym roku owoców nie było, bo wiosna pszczoły nie zapylały ze względu na te beznadziejne ulewę. Tak, że owoców nie mam, ale za to wilków mi narosło od groma. To są takie niepotrzebne przyrosty, które nie dają. Zagęszczają tylko korony drzewa. Można je obcinać także w lutym, ale nie wiem, czy w lutym tu przyjdę. W tym roku wyjątkowo wszystko wybujało w te niepotrzebne zupełnie przyrosty. Sad był piękny, tylko mi jednej zimy wlażył w ogrodzenie żając. Ja byłem w sanatorium, a syn przywiózł tu swoich kolegów i koleżanki na Sylwestra. Prawdopodobnie zostawili otwartą furkę, przez którą żając dostał się do sadu, a odjeżdżając — zamknęli go. Biedne zwierzę musiało się czymś żywić, więc żywiło się moimi jabłkami, czyli obsmyczało je z korzy.

Sadownictwo jest w moim przypadku sprawą amatorską zupełnie. Przeczytałem po prostu bardzo piękne opracowania na ten temat profesora Pieniążka, wspaniałego znawcy przedmiotu, i bardzo pilnie uczyłem się od niego tych wszystkich historii. W ogóle w życiu próbowałem bardzo wielu rzeczy. Czy ma to jakiś związek z moim piarstwem? Tak jak wszystko. Dawniej polowałem jak wariat. Teraz już mi trochę odeszło, ale dalej mam to hobby. Wędkowałem, byłem żeglarzem, i nawet traktowałem dość poważnie to moje żeglarswo. Budowałem łódzie. Ta łódka to też sekwencja w moim życiu. Kiedyś, przez kilka lat, byłem prezesem Warszawskiego Klubu Wodniackiego LOK-u. Nawet warte zapamiętania są moje doświadczenia z tego okresu. Tam był warsztat szkutniczy, więc przy okazji robiłem te łódki, która nam bardzo dobrze służyła. Dalej: zbudowałem dom i zajmowałem się stolarstwem i ciesiówką; w końcu malarzem byłem też przecież. Staralem się ukończyć Akademię Sztuk Pięknych. Gdyby nie zabieganie innych ludzi, na siłę propagujących wtedy tak zwany realizm socjalistyczny i uważających, że to, co robię, nie ma nic wspólnego ze sztuką potrzebną narodowi i klasie robotniczej (miałem masę przykrości z tego powodu), to może bym i został przy tym zawodzie; nie wiem, czy z korzyścią dla sztuki polskiej, czy też byłby to wybór bez specjalnej szansy na powodzenie. Zajmowałem się też dziedziną w sposób poważny. Na ogół wszystko, co robiłem obok piarstwa, traktowałem jako coś ważnego: każde hobby, każde zajęcie obszarowi, wnikiwie w nowe środowiska, poznania nowych ludzi. Nie mogłem kontaktów profesjonalnych.



gorycz Kolumbów

Z nikim z mojego środowiska ściśle zawodowego, literackiego, nie utrzymuję bliskich kontaktów. Gdybym miał wymienić przyjaciół profesjonalnie zajmujących się piarstwem, to byłbym w dużym kłopotcie. Może bym ich zliczył — ja wiem? — ze trzech, czterech, i to nie z kręgu beletrystów, a raczej poważniejszych reporterów, dziennikarzy, ludzi zajmujących się tak zwaną literaturą faktu. A poza tym mam przyjaciół, na przykład, wśród biologów; profesor Żurawski z Popielna jest moim serdecznym przyjacielem (chyba nie obrazi się za takie określenie). Przyjechał parę dni temu (umawialiśmy się chyba na polowanie) i powiedział mi tak: „Wiesz, te twoje bobry na Blankowej Strudze bardzo się rozmnożyły; w zeszłym roku były dwa młode, a w tym roku trzy”. Dobrze sobie: moje bobry! A to niby dlatego, że tutaj mieszkam i, że tak powiem, jestem uczuciowo zaangażowany w sprawę rozprzestrzenienia tego śmiesznego i bardzo fajnego zwierzęcia. Myślę, że to będzie też jakimś wyznacznikiem poziomu cywilizacyjnego naszego społeczeństwa, jeśli dać temu nieszczęsnemu bobrowi, czyli: jeśli tym razem chłop żywemu przepuści.

Mówiłem o przyjaciółch. Z pisarzami wychodzi mi na ogół najtrudniej. Kontakty z nimi bywają niebezpieczne. Zdarza się, że po mojej podróży z profesjonalistą znajduje w druku historie, które opowiadałem z nudów. Oczywiście, bez podania źródła. Nie boleje specjalnie nad tym, bo — zamiast opowiadać — mogłem to przecież sam napisać, a skoro nie napisałem... Ale zdarzyło mi się to już kilka razy, więc teraz przycinam zębami język, kiedy mam z profesjonalistami do czynienia. Już właściwie wszystko zostało napisane. Wymyślanie literatury na nowo byłoby zajęciem raczej żmudnym i nie wróżącym specjalnego sukcesu. Staram się po prostu nie korzystać z myśli już przez kogoś sformułowanych, dlatego może tak mało mi się pisze i z trudem. Na ile to mi wychodzi, to już inna sprawa, bo przecież myśli z lektur, z przeżyć są już w człowieku pokodowane, zapamiętane bez udziału świadomości; gdzieś to wypływa i może zabrzmieć jak plagiat. Staram się tego unikać, a jeśli się przyłapię na mimowolnym zapożyczeniu, rугuję je z tekstu, choć czasami z żalem.

Na dzisiaj po obiedzie wymyśliłem, że jednak obietnicę te wilki na jabłoniach, bo strasznie mnie denerwują. To absurdalny wybrzyk drzew, które nie wiedzą, co robić z energią. Muszę to zrobić. Niekoró sumienia goni mnie do tej roboty.

Mówiłem, że wszystkie te moje oboczne zajęcia starałem się zawsze traktować w możliwie poważny sposób. Studiowałem lektury, gromadziłem bibliotekę. A co! Zapomniałem

powiedzieć, że miałem tu konia na własność! Bardzo to fajne było zwierzę, ale, niestety, musiałem się go pozbyć ze względów rodzinnych. Dziwnie był agresywny w sensie jakby nawet lirycznym. Kiedy niewiasty opalały się w sadzie, to bywały wylizywane od stóp do głów przez tego zwierzęcia. Aż dwa czy trzy lata trwała konńska epopeja. Nauczyłem się jeździć konno, zajmowałem się tym zwierzęciem, które zresztą odpłacało mi dosyć znacznym przywiązaniem jak na konia. Kon jest jednak jednym z najgłupszych zwierząt udomowionych przez człowieka.

No, świeższe grają. Odrabiają całe lato, które im nie dało ku temu okazji. Jesień, jesień, bracie. I w życiu też. Jak podczas wieczornego pisania robię sobie przerwę i otworzę okno, żeby wywietrzyć pokój z dymu tytoniowego, to mam taki świeższy koncert, a nawet znacznie głośniejszy, znacznie bogatszy, jeśli chodzi o tonację.

Mówiłem o losach moich przyjaciół, kombatantów, znajomych. Niektórzy robili także kariery i w wojsku, i politycznie... Akurat jeśli chodzi o mój krag, o krag Czwartaków Armii Ludowej, w którym egzystowałem w czasie Powstania Warszawskiego, to tam różnie z tymi karierami było. Niektórzy dochodzili do wysokich stanowisk w wojsku i nie tylko. Na ogół jednak, mimo niezbyt jeszcze posuniętych lat, są już emerytami. W końcu jednak to pokolenie wydało dość sporą ilość i pisarzy, i malarzy. Mam ich tu, w zasięgu wzroku nieomal: na przykład Andrzeja Strumiłłę. To artysta zakochany w tych stronach, wielki przyjaciel Mazur i działacz kulturalny Suwalszczyzny. Jest ich cała plejada. Mogłbym wyliczać nazwiska i rzeźbiarzy, i malarzy, i pisarzy, którzy wywodzą się z kręgów kombatantów pokolenia Kolumbów. Po pierwszej wojnie światowej wymyślono nazwę „stracone pokolenie”. Nie wiem czy nie Hemingway wymyślił to określenie? A może ktoś z kręgu jego bliskich znajomych czy przyjaciół? Mówiąc o moim pokoleniu nie chcę używać tego określenia, choć ono może ładnie brzmieć. Uważam, że nie ma pokoleń straconych. To „stracone pokolenie” wydało, chwala Bogu, plejadę wspaniałych pisarzy i innych artystów: Picassa, Hemingway'a, Joyce'a... Co to za stracone pokolenie? Nazwa może trochę usprawiedliwiać jakieś dewiacje w zachowaniu tych ludzi, przecież nie wszystkich.

Gorycz pokolenia Kolumbów wywodzi się z całkiem innych przesłanek. W przypadku środowiska akowskiego jest ona wynikiem długotrwałej deprecjacji działań jego członków w naszej powojennej historii, ale zostało to w końcu zrehabilitowane. Dziś te problemy nie istnieją: wielu z tych ludzi otrzyma-

ło należną im satysfakcję. Pozostała gorycz, wywodząca się z poczucia nie docenienia. Byli przecież przez długie lata prześladowani, skazywani, pomawiani o współdziałanie z agenturami obcymi i tak dalej. Bo to, co słyszę o agenturach, było na każdym etapie modne. Myślę, że ta gorycz nie bierze się tylko z nie docenienia i zmarnowania najlepszych lat. Nikt z nas nie ma poczucia zmarnowanego czasu. Nie spotkałem się z człowiekiem, który by tak stwierdził. Tadek Borowski powiedział mi kiedyś przy kielichu, że chciałby napisać coś zupełnie opacznego o tej okupacji. Zamiast kamieni rzucanych na szaniec i całej bohaterzczyzny, chciał napisać o miłości dwojga ludzi, którzy pędzą bimber i bardzo dobrze z tego żyją, zajmując się wspaniałymi lekturami oraz dysputami na tematy filozoficzne. Oczywiście, było to przewrotne zamierzenie i nie wiem, na ile przeznaczone do realizacji. Sam charakter tej wojny: chodziło przecież o biologiczne przetrwanie narodu, a więc i nasze. W tej sytuacji najważniejsze było poczucie własnej przydatności. Bezmyślne uczestnictwo w rzezi w naszym przypadku nie wchodziło w grę. Nie sadzę, aby ktokolwiek uważał, że postępował idiotycznie uczestnicząc w ruchu oporu. Tak więc nie zaszczyści są tutaj źródłem goryczy, która wielu nas gnębi; mnie między innymi gnębi także to, co się później działo. Nie mam tu na myśli faktu odbudowy kraju, tego strasznego, dziś niewyobrażalnego wysiłku pierwszych lat powojennych. Zresztą zniszczenia były tak potworne, że stosunek do tego powinien być jednoznaczny, chociaż jak wiadomo, toczyła się w Polsce wojna domowa, i to bardzo smutna długotrwała i ciężka, o której się jeszcze ciągle za mało powiedziało. Myślę raczej o ludziach lewicy, ale także o wszystkich świadomych sytuacji geopolitycznej naszego kraju ludzi, którzy rzeczywiście w ustroju socjalistycznym znaleźli szansę awansu życia narodowego i rozwoju kraju. Myślę również o tym, co następowało później: o kolejnych etapach wstępu nadziei i kolejnych jej degronoladach. Chodzi mi o zjawiska takie, jak wypadki październikowe 1956 roku. Ogromny entuzjazm towarzyszył tym wydarzeniom. Byłem w Poznaniu w czasie tych tragicznych wydarzeń, które poprzedziły cały październikowy proces odnowy, i przeżyłem to w sposób bolesny, podobnie jak to, co nastąpiło później w życiu politycznym i społecznym. Ogólna wiara w fale odnowy stosunków społecznych, w ich racjonalizowanie, doprowadzenie doładu moralnego, uległa degronoladzie — jakieś korozji — w ciągu następnych lat.

TOMASZ PIOTROWSKI



sport

Mówienie o masowej kulturze fizycznej w naszym kraju jest sloganem. Przeciętny obywatel styka się z nią na co dzień przeważnie w... informatorach, gdyż do rozwijania teŝyżny swego ciała nie ma ani warunków, ani wzorów. W najlepszym przypadku zdany jest na tak zwaną rekreację zorganizowaną. Sprawę tę próbuje załatwić Telewizja Polska. Ze skutkiem — jak wiadomo — mizernym. Na nic zdało się prezentowanie biegających po śniegu państwa Przygodów z Warszawy. Programy te, owszem, interesujące dzięki panu Hopferowi, emitowane są w niedzielne poranki, czyli akurat w porze najodpowiedniejszej na dotlenianie organizmu. Chociażby w drodze do kościoła. Inna rzecz, że nie przyzwyczailiśmy się jeszcze do biegających po parku, a ich widok wywołuje u obserwatorów uśmiech politowania lub wymowne gesty. Łomżyński, aby nie narazić się na śmieszność powinien więc udać się do Łasku Jednaczewskiego, gdzie, z myślą o jego zdrowiu, zlokalizowano ścieżkę zdrowia. Zważywszy jednak na odległość, jaką musiałby pokonać — trudno się dziwić, że woli zostać w domu. Jedynym rozsądnym rozwiązaniem w tej sytuacji, byłoby tworzenie terenów rekreacyjnych we wszystkich osiedlach. Póki co jednak, ważniejsze jest budowanie mieszkań. Nie dziwnego, że na terenach przewidzianych na rekreację (o ile takowe na osiedlach się planuje) stawia się dodatkowe bloki albo „śliczne” garaże. Nie ma boisk, nie ma pla-

ograniczona liczba zawodników. I właśnie dlatego Zarząd Główny TKKF zobowiązał Zarządy Wojewódzkie aby nie wspierały takiej działalności, w przypadku której masowość przechodzi w wyczyn rywalizując ze sportem kwalifikowanym.

Wbrew pozorom wejście TKKF-u do zakładów pracy nie ułatwia mu działalności. Działacz TKKF-u jest tam traktowany jako czynnik administracyjny, a stosunek ludzi do administracji jest znany powszechnie. Z drugiej strony dyrekcje, którym powinno przeciwieństwo zależeć na zdrowiu i samopoczuciu pracowników traktują działalność TKKF-u z przy-mrużeniem oka. Faktycznie, TKKF nie robi sportu przez duże S, tylko masówkę. I jeśli administracja decyduje się łączyć w sport, to raczej ten kwalifikowany, wychodzący z założenia, że jeśli ktoś chce się bawić, to niech się bawi za pieniądze własne, a nie społeczne.

Dużą popularnością wśród członków TKKF-u, a konkretnie ich piękniejszej części, cieszą się zespoły rytmiki i gimnastyki odchudzającej. Przeciwwagą dla lig piłki nożnej i siatkówki są imprezy o charakterze czysto rekreacyjnym, jak festyny, spływy kajakowe, rajdy i biwaki. W województwie działa dwanaście wypoczynalni sprężu, ale jest to kropla w morzu potrzeb. Gdyby było ich więcej (w każdym osiedlu w pobliżu placów gier i zabaw) sprawa rekreacji przestałaby być problemem. Wystarczyłoby wyjść przed blok...

masówka dla wybranych

ców gry. Jest za to karkołomna trasa do dość daleko położonych sklepów i przystanków autobusowych. Dla zdrowia.

Monopol na rozwijanie sportu masowego ma w naszym kraju Towarzystwo Krzewienia Kultury Fizycznej. Działalność TKKF-u rozwija się jednak nie w tym kierunku co trzeba. Nie jest to wina działaczy tej organizacji, lecz warunków kształtujących jej oblicze. Z konieczności bowiem TKKF rozwija działalność w zakładach pracy i instytucjach. Próby powoływania ognisk TKKF w osiedlach, co byłoby najbardziej celowe, spotykają się z obojętnością. Przede wszystkim ze strony ojców miast. Działają co prawda w naszym województwie ogniska miejskie, działalność ich jest jednak przypadkowa. W zakładach pracy ma się przynajmniej jakieś takie oparcie w zalogach. Paradoks polega na tym, że wykorzystując to oparcie wykonuje się robotę za służby socjalne zakładu, które zamiast dziękować za pomoc, chcą się raczej do dokonywania rozliczeń.

TKKF organizuje więc imprezy zamiast służyć radą i pomocą w ich przeprowadzaniu, w szkoleniu instruktorów i organizatorów sportu. Zajmuje się organizacją rozgrywek piłki nożnej i siatkowej powielając działalność Wojewódzkiej Federacji Sportu. Po drodze ginie idea masowości, bo masowej kultury fizycznej nie robi się przez imprezy, w których uczestniczy przeciwieństwo tylko

Wszystko sprowadza się więc do braku warunków. Nawet wojewoda łomżyński nie potrafi jakoś załatwić tej dziury. Decyzją nr 33/80 zwolnił on z opłat za korzystanie ze stadionu jednostki kultury fizycznej i sportu. Idea jest słuszną, natomiast jej realizacja pozostawia wiele do życzenia. WOSIR, wbrew zarządzeniu, pobiera opłaty za korzystanie ze stadionu, nawet za organizację imprez, których sam jest współorganizatorem. Nie kwestionuje się słuszności decyzji, ale cóż, życie jest brutalne i żeby konserwować stadion, trzeba na to zarobić. W tej sytuacji można tylko postulować, aby Wydział Kultury Fizycznej i Turystyki zwiększył dotację dla WOSIR-u. Ale, o ile nam wiadomo, jest to możliwe tylko przy zmniejszeniu dofinansowania działalności innych organizacji i klubów sportowych. Błędne koło, w którym każda decyzja musi być wyborem. Trzeba więc jasno widzieć, o jaką stawkę chodzi. W przypadku łomżyńskiego TKKF-u grałoby się o 10258 członków skupionych w 66 ogniskach. A właściwie o tych, którzy nie są w tych ogniskach skupieni. O 60 tysięcy ludzi powyżej 18 lat (bez mieszkańców wsi, którzy rekreacji na świeżym powietrzu mają aż nadto) zasiadających po pracy przed telewizorami i w przerwach między ciekawymi programami telewizyjnymi rozmyślających, czego by nie zrobili, gdyby...

WYMIATAĆ

KARTA UCZESTNICTWA W TURNIEJU TENISA STOŁOWEGO

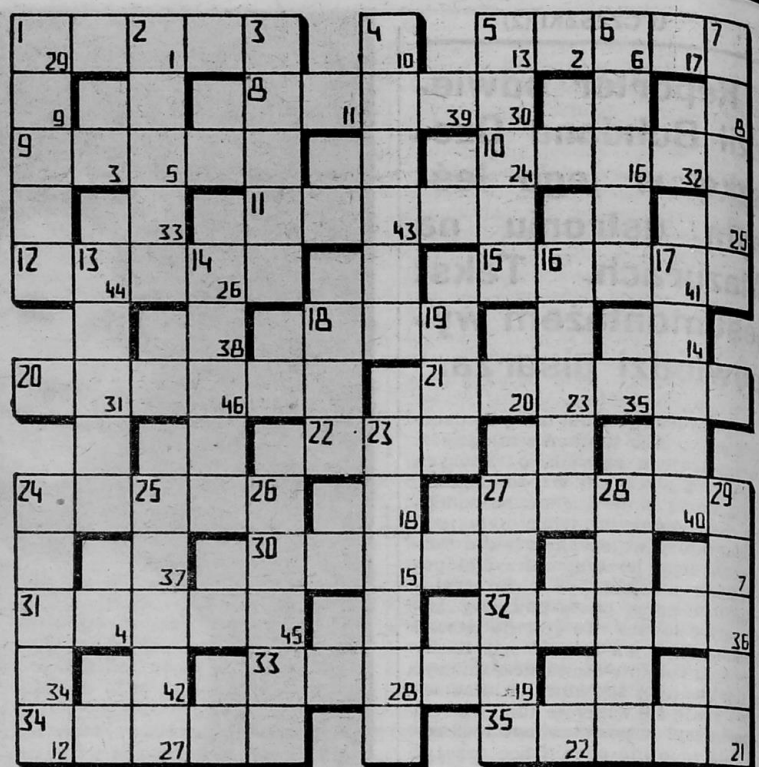
Nazwisko i imię

Zbiorcza Szkoła Gminna

Adres uczestnika

Data i miejsce urodzenia

Potwierdzenie zgłoszenia przez opiekuna SKS



krzyżówka z hasłem

Litery z pól ponumerowanych w prawym dolnym rogu napisane w kolejności odpowiadających im liczb od 1 do 46 utworzą rozwiązanie.

POZIOMO: 1) pisarz rosyjski, twórca komedii „Rewizor”, 5) czarna kojarzy się z ciarami, 8) rzeka we Włoszech przepływająca przez Werone, 9) utajnia ważną wiadomość, 10) błąd nieba, 11) rodzaj popularnej śrubki powszechnie używanej, 12) kwitnie tylko raz w życiu, 15) rzeka stanowiąca naturalną granicę pomiędzy ZSRR i Iranem, 18) popularna jednostka powierzchni w krajach anglosaskich, 20) plemię, 21) gość w domu, 22) kałsiwy owad, 24) pierwszy polski film fabularny, 27) hazardowa gra w karty, 30) przewodnik wysegu, 31) lewy dopływ dolnego Bobru, 32) kowbojski rekwizyt, 33) bryła spieczonych rud, 34) narzędzie używane przy okrowywaniu kłoców 35) na półkach w sklepie.

PIKOWO: 1) popularny grzyb jadalny, 2) jesienno-zimowa choroba, 3) motyl w powiśkach, 4) wyskok, figiel, eksces, 5) wyspa na Morzu Śródziemnym ze stolicą La Valetta, 6) góralski gospodarz, 7) 18-400 Łomża, ul. Sadowa 10, 13) w porządku z pętelką, 14) najstojniejszym był Kara Mustafa, 16) witka, 17) duże miasto nad rzeką Ochnią, 18) najwyższy szczyt Filipin, czynny wulkan na wyspie Mindanao, 19) kul-sowa, 23) arbiter, 24) jak się tłucze to na szczęście, 25) jon o ładunku elektrycznym ujemnym, 26) światło, jasność, polysk, 27) droga bita, gościniec, 28) część marynarki, 29) gałąź.

Rozwiązanie (tylko samo hasło) prosimy nadsyłać na adres: 18-400 Łomża, ul. Sadowa 10, w terminie do dnia 30 listopada br.

NA PIĘCIOLINII

śpiew piły tarczowej

ostatnio w telewizji pokazano po raz drugi film o wybitnym polskim pianście jazzowym, Adamie Makowiczu, który od dwóch bodaj lat mieszka i pracuje w Nowym Jorku. Otóż to: nie gra, tylko pracuje, chociaż gra. Bardzo często przedstawiano nam naszych wybitnych na obczyźnie i oni zawsze tam tylko robili sztukę: grali, śpiewali, malowali itd. Wybitni bowiem nie tyrają ciężko, tylko za ciężkie pieniądze sprzedają swoją sztukę. Pokazanie Makowicza, zaprezentowanie jego wypowiedzi, było odbrązowieniem tego, co przez tyle już lat stawaliśmy na cokołach. Otóż krytycy amerykańscy — i nie tylko — piszą o nim jako o jednym z pięciu najlepszych pianistów jazzowych świata. Organizuje mu się koncerty w Cornagie Hall, ale też występy w podrzędnych klubach, w których pianście akompaniują kucharz, przygotowujący za jego mini-scenę kotlety schabowe. Ze eksport naszej muzyki rozrywkowej, również i w wykonaniu niedysyjszych filharmoników, zawsze był związany ze schabowymi, wiedzieliśmy wszyscy, tylko mało kto chciał ten fakt podać do prasy. Z dwóch powodów: nie można pisać, że ktoś się szmaci przy ryku piwoszów (może to robić Norweg, Anglik, Francuz itd.); nasza mentalność nie może ponoć zrozumieć, że tam, za oceanem, największe gwiazdy jazzu i muzyki rozrywkowej grają pod schabowy. Ale onj mogą, bo oni nie są nasi.

Zaden szanujący się gwiazdor polskiej estrady po powrocie z USA, czyli spod skrzydeł pana Wojewódki, nie powie o schabowym, ale o występie w telewizji, koncertach w Cornagie Hall i największych, najbardziej ekskluzywnych klubach stolicy świata. Tymczasem w Cornagie Hall występuje ewentualnie „Mazowsze” i Makowicz, w studio telewizyjnym jest jedna kamera, zainstalowana na stałe (dlatego wykonawca porusza się pod kamerą, a nie odwrotnie), a te kluby są może największe, ale na

miarę Grajewa, nie zaś Nowego Yorku.

Kłamstwo goni kłamstwo i trzeba kogoś właśnie na miarę Makowicza, żeby sytuację wyjaśnić, co też zapewne już się stało. Pianista jest w Stanach Zjednoczonych kilka lat i chyba pierwszy szok ma za sobą. W Polsce grał w filharmoniach, w fortepianach wybierał jak w ulegatkach był poważny, skupiony, intelektualny, na jego koncerty trudno było kupić bilety. W USA nauczył się radosnego śmiechu, poklepywania po ramionach i grania wespół z kotletem schabowym. Ale Makowicz nauczył się jeszcze jednej rzeczy: rytmu. Jego impresjonistyczne frazy, za które odmawiano mu miana jazzmana, zginęły gdzieś w pulsacji wszechobecnej muzyki murzyńskiej, i to chyba wydzie Makowiczowi na zdrowie. Może ta dygresja odstaje od felietonu, ale warto ją przytoczyć, bo jest związana z Makowiczem jak chleb z masłem.

Makowicz przebiegał u nas w fortepianach; tam nie ma prawa wybierać niczego, gdyż w przeciwnym razie przestana wybierać jego i pójdą na piwo bez muzyki, nagrają płyty z kimś innym, a przede wszystkim uniemożliwią mu ciężką pracę. Praca Makowicza to nauka gry, nie zaś sama gra, i to jest w jego wypowiedziach najcenniejsze. Nie widziałem jeszcze wywiadu z gwiazdą muzyki rozrywkowej, która powiedziałaby, że w USA pracowała nad sobą. Czy to za oceanem, czy w Europie Zachodniej, wszyscy nasi wykonawcy uprawiają sztukę i odnoszą sukcesy, chociaż najbardziej odbijają się one w szybach nowych samochodów i fałdach luksusowych sukienek. Są nawet płyty! Nagrywane — ludzie! — tam właśnie.

W Hamburgu zapytałem szefa malej firmy płytowej, ile muszę zapłacić, żeby nagrać u niego tysiąc singli z moim śpiewem w stylu hinduskim, przy akompaniamencie sroki, wrony, trzech kanarków i piły tarczowej. Wymienił cenę.

JAN JANUSZEK

KONTAKTY

MINI-KABARET **PIEKIEŁKO** PRZEDSTAWIA DRAMAT ADMINISTRACYJNY **DIABELSKIE OBRACHUNKI**

Tym razem trzy nasze znajome diabły, ob. ob. Biebrzański, Narwiański, Buzański oraz jeden, którego jeszcześmy dokładnie nie poznali, a który, jak z pewnością pamiętamy, nazywa się Dojliski, siedzą na tarasie restauracji „Nadbiebrzanka” w Goniądzu. Zimno jak wszyscy diabły, ale nasi bohaterowie wolą marznąć niż przebywać wewnątrz obiektu gastronomicznego kat. III, z którego dochodzą ni to piekielne, ni to ludzkie wrzaski, ryki, tomyty, hałasy i joby.

DOJLICKI: Mużna powiedzieć, że okolica tutaj faktycznie bardzo piękna, aczkolwiek wrzaskliwa jakby nieco.

NARWIAŃSKI: Nie chciałbym być niegrzeczny, kolego Dojliski, ale pragnę zwrócić uwagę, że wasz poprzednik mówił można.

DOJLICKI: Mużna tak, można i tak. W końcu to nie ważne, bo mamy ważniejsze sprawy. Proponuję, koledzy, żebyśmy w aktualnej sytuacji zajęli się pracą u podstaw. Mam tu na myśli różne diabelstwa, które należy propagować, podnosić i umacniać na terenach podstawowych. Do miast wojewódzkich, póki co, nie musimy się wypychać. Oni tam teraz robią porządki między sobą, więc przyjdziemy na gotowe, jak się już ustala. Jest to nasza nowa strategia taktyki procesu.

BIEBRZAŃSKI: Szczerze mówiąc, niczego tu nowego nie widzę. Nie chwalać się, już dawno działałam w sposób podstawowy.

BUZAŃSKI: Znowu będziecie się chwalić, lebiego? Niech się nowy najpierw pochwali.

DOJLICKI: Koledzy! Tu nie chodzi o chwalenie się, ale o szczerą, pryncypialną, aktywną, ideologiczną, bezkompromisową, żarliwą, gorliwą pracę. Mówcie, kolego Biebrzański!

BIEBRZAŃSKI: Już od dłuższego czasu upatrzyłem sobie byłem miejscowość o dwujęzycznej nazwie Kramkówka Mała. I oto jakie mam suk-

cesy! W roku 1973 w sławetnym konkursie pod zaszczytnym hasłem „Wieś białostocka gospodarna i kulturalna”, owa miejscowość otrzymała ćwierć miliona nagrody. Pieniądze te miały pójść na wodociągi, ale nie poszły, gdyż dzięki moim staraniom, poszły diabli wiedzą gdzie. Także telewizor kolorowy, druga część tej nagrody, diabelską sztuczką znalazł się ni stąd, ni zowąd w Goniądzu, bo i na cóż jaćś tam Kramkowanie Mali mają świat oglądać w kolorach i to jeszcze może na różowo. Także soltysa w Kramkowie wybrałem na wieczne czasy. Nikt nie pamięta, kto go wybrał, ani na jak długo. Dzięki temu praworządność kwitnie we wsi jak sto diabłów.

NARWIAŃSKI: Mogę i ja się podobnymi sprawami pochwalić. Mam kilku takich wiecznych soltysów, np. w Czyżewie Sutkach, gmina Czyżew i Łętownicy, gmina Szumowo, gdzie zresztą soltysa wybrał Urząd Gminny, a nie miejscowi włościanie.

BIEBRZAŃSKI: Eee! A u mnie w Kramkowie Małej klub rolnika w środku podparty jest kolkiem. Wystarczy go lekko nadpiłować, a cała kultura runie.

NARWIAŃSKI: Przebijam. W Cieciorkach, gmina Zambrów, stoi całkiem wolna szkoła, ale korzyści z niej nie ma za grosz, ponieważ mieszkający tam od lat nauczyciel zamyka się na cztery spusty i nikogo nie wpuszcza do środka.

BIEBRZAŃSKI: Eeee! A u mnie, w Kramkowie Małej, w Zakładzie Usług Mechanizacyjnych brakuje maszyn, a tych co nie brakuje, to stoją zepsute.

NARWIAŃSKI: Iiii! W Zambrowie za łóżko w czteroosobowym pokoju trzeba płacić siedem stów, przy czym nie wolno tu i ówdzie, nie wolno im korzystać z kibłów i łazienek, a także gotować sobie herbaty na gazie.

BIEBRZAŃSKI: Uuuu! W Kramkowie sklep spożywczy pół roku nieczynny. Sklepowa na urlopie macierzyńskim, hheeee.

NARWIAŃSKI: Aaaa! W Zambrowie radiowęzeł Zakładów im. Rewolucji Październikowej czynny bywa trzy razy w roku, przy wyjątkowej okazji...

Zapada kłopotliwe milczenie. Diabły niepełnie patrzą na siebie i na ob. Dojlickiego. Ten skromnie spuszcza oczy.

WIESŁAW TOMASZEWSKI

Nasza recepta

W tym tygodniu radzimy: 8, 15, 22, 39, 40, 44 i dodatkową — 11.



Cesar. „Kciuk” — 1965 r. Gigantyczna i symboliczna rzeźba awangardy lat 60-ych, nawiązująca do prehistorycznych i magicznych odciśnięć rąk w miękkich skalach wapiennych, także do ponadczasowej idei palca bożego, oraz do gigantomanii reklamowej współczesnych społeczeństw konsumujących.

Fot. Zdzisław Zaremba

PATRZĄC NA RĘCE **KCIUKI RÓŻNE**

Kciuk wśród palców jest indywidualnością — pełni rolę bazy i podpory pozostałej czwórki. Okazały kciuk może zrekompensować słabość całej dłoni, a mały — osłabić wymowę ręki silnej.

Kciuk osadzony nisko i odsunięty od dłoni znamionuje człowieka milującego wolność, jednostkę o charakterze otwartym. Natomiast kciuki osadzone wysoko i „przyklejone” do dłoni, należą zwykle do ludzi nieśmiałych, dysponujących raczej niskim temperamentem.

Kończówka kciuka określa wolę, część środkowa — rozum i logikę, dolna, związana z dłonią — myślenie, i ona właśnie jest najważniejsza. Słabo rozwinięta dolna część kciuka sygnalizuje człowieka niezbyt dobrze panującego nad sobą, silnie rozwinięta, mówi o skłonnościach do przewożenia nad innymi i do wykorzystywania tego z korzyścią dla siebie. Najlepiej jest mieć tę część znormalizowaną, choć nie brak zwolenników mocnej podstawy kciuka. Normalna część mówi, że właściciel jest umiarkowany we wszystkim co czyni i przeważnie fair-play.

Jeśli kształt kciuka przypomina młotek (ciężki, z mocno rozwiniętym i twardym opuszką) — sygnalizuje naturę gwałtowną i niepomaganą. Chiromanci nazywają taki palec — palcem mordercy. Natomiast giętki i sprężysty kciuk, to oznaka natury gorącej i towarzyskiej, łatwo przystosowującej się do każdej sytuacji i bystrej, choć trochę skłonnej do awantur.



Antoine Wiertz: „Piękna Rozyna”. Nie ma w tym żadnej aluzji do jakiegokolwiek sytuacji. Po prostu przedstawiamy belgijskiego malarza, symbolistę i moralistę, który w ubiegłym stuleciu skonfrontował kwitnący akt dziewczyny z kościotrupem w ramach studiów nad stopniem nagosci. Fot. Włodzisław Cieslowski

O UROKACH **JAK ICH UNIKNĄĆ?**

Do dzieci zle oczy mocno są przylepne, i to od samego zalegnięcia. Matki to rola dokładnie pamiętać, aby przez jej błędy nieszczęśnika nie dochowała. Musi przeto pamiętać, że nie dla niej droga przez sznury i dysze, żeby dzieciaka pepowina aż do zaduszenia nie skrępować.

Dla osłony małenstwa w łonie — niech stale nosi fartuch, a mając na sobie, niech — broń Boże — nie wyciera nim niczego, stołu, twarzy ani rąk, bo biedactwo przez całe życie będzie mocno smarkate!

Musi też poskromić swoją babską ciekawość i nie podglądać ani sąsiadek, ani męża (choćby okropne bezceństwa czynił) przez dziurkę od klucza, bo ile ma tego drobiazgu w sobie, jedno czy dwoje, wszystkie będą zezowate, a to urody nikomu nie przydaje.

Nie radzę też ciężarnej przemówić

się z kimś, zwłaszcza w jego domu, bo złość ludzka niedobra na ciążę! Taka rozeźlona sąsiadka może rzucić za wychodzącą węgielkim czarnym albo żarem czy palącą się zapalką i wtedy biała mającemu przyjść na świat. Narodzi się z czarnej myszy na ciebie, jeśli to był węgiel, lubo czerwona, jeśli żar czy ogień. Nie daj Bóg — na twarzy! Tej szpetoty już nieczym nie zdejmiesz ani nie odgarniesz.

Lekarze powiadają, żeby ciążarna nie używała z chłopem aż do miesiacca po porodzie. Ale babki doświadczone inaczej pogadują: dasz, chłop na cudze nie poleci, a do tego może poprzednie niedoróbki w dziecku uzupełnić — może rączkę za cherlawą albo noskę nazbyt tygi. Ja wiem tak: niechaj każda w tej materii postępuje wedle własnego sumienia.

(zel)

UCZTA MĘSKOŚCI CHWILOWO ZMARŁEJ

„...pragnąc uczcić jakąś najbliszą i nieudaną miłość wykonypował ucztę żalobną.

W jadalni obitej kirem, otwartej na ogród posesji przynależny, który nagle zmienił wygląd, aleje bowiem zalegał pył węglowy, niewielki basen wypełniony atramentem okalała teraz cembrowina z bazaltu i wszędzie pojawiły się kępy cyprysów i pinii, podano obiad na czarnym obrusie przystrojonym koszami fiołków i skabioz, oświetlonym kandelabrami, gdzie paliły się zielone płomienie, i świecznikami, gdzie jarzyły się świece.

Kiedy ukryta orkiestra wygrywała marsze żalobne, biesiadnikom usługowały nagie Murzynki w srebrnych pantofelkach i pończochach usianych izami.

Na talerzach obwiezionych czernią, jedli zupę zółwiową, żytnie chlebki rosyjskie, dojrzałe tureckie oliwki, kawior, ikrę ciernioglów, wędzone kiszki frankfurckie, dziczyznę w sosach koloru lukrecji albo szuwaksu, esencję trufliową, kremy przybrązowane czekoladą, puddingi, brzoskwinie, marmoladę z winogron i gruszek, morwy i czereśnie; pili w ciemnych kieliszkach wino z Limagne i z Rousillon, z Tenedos, z Val de Penas i z Porto; po kawie z orzechówką kosztowali rozmaitych piw, kwasu i porterów.

Kartoniki, takie, jakimi zawiadamia się o pogrzebach, zwolały biesiadników na ucztę męskości chwilowo zmarłej.

(fragment z „Na wspak” Joris-Karla Huysmansa)

podsiat

Andrzeja Koziary

2 KON 30 X Ceno

pod redakcją

organ samoistny

podsiat

podsiat